

## Szok węglowy (2)

# W Puchaczowie

Andrzej W. Pawluczuk

**Z** LUBELSKIM węglem najczęściej kojarzona jest Łęczna, ona też uchodzi za stolicę nowego zagłębia. Tymczasem Łęczna to tylko sypialnia dla wielotysięcznej załogi kopalni. W samym sercu zagłębia, tuż przy „Bogdance”, znajduje się natomiast Puchaczów. Do roku 1867 miasto, dzisiaj wieś i siedziba gminy, w której arbitralne rządy węgla odczuwane są najbardziej dotkliwie.

Puchaczów leży przy szosie prowadzącej z Łęcznej do kopalni. Powiedzmy to dokładniej: drogę z Łęcznej do Bogdanki poprowadzono przez sam środek Puchaczowa i to jest temat, od którego zaczyna się moja rozmowa z naczelnikiem gminy, Stanisławem Adamczykiem.

Siedzimy w maciupkim gabinecie, od czasu do czasu, gdy obok Urzędu przejeżdża ciężarówka lub autobus, odczuwam drgania budynku, chociaż wzniesiono go zgodnie z wszelkimi kanonami sztuki murarskiej. Tych autobusów i ciężarówek przejeżdża tu bardzo dużo, ponieważ do kopalni codziennie dowozi się ciężki sprzęt i materiały oraz kilkanaście tysięcy ludzi. Tak jest od lat. Z powodu drgań wywołanych przez wielkie samochody pękają budynki, toteż od lat wiadomo, że jedynym sensownym i oszczędnym rozwiązaniem byłaby obwodnica wokół Puchaczowa. Niestety wiadomo także dzisiaj, że jej budowę (jeżeli w ogóle do tego dojdzie) zawieszono na lata. Obwodnica wokół miasteczka umieszczona była w planie inwestycji towarzyszących budowie kopalni K-2 w Stefanowie. Budowę kopalni wstrzymano jednak bezterminowo i domy w Puchaczowie pękać będą w dalszym ciągu.

Ten przykład całkowitego lekceważenia miejscowych potrzeb nie jest odosobniony, a ilustruje doskonale taki sposób gospodarowania, w którym nie trzeba było ani liczyć pieniędzy, ani obawiać się odpowiedzialności za błędne decyzje gospodarcze. Gospodarcze? Może raczej polityczne, gdyż pomysł wydobywania węgla na Lubelszczyźnie, posiadającej najlepsze w Polsce warunki dla rolnictwa, był przecież decyzją polityczną, chociaż jej skutki ekonomiczne ponosi i będzie długo ponosić całe społeczeństwo. Aby jednak ten osąd zabrzmiał przekonująco, potrzebne są fakty. Tylko one bowiem potrafią wykazać, że mariaż rolnictwa i wielkiego przemysłu nie jest możliwy przy tych sposobach gospodarowania, jakie ugruntowały się u nas w powojennym czterdziestolecium.

Zacznijmy przeto od początku. Puchaczów przez parę stuleci żył z handlu i usług dla okolicznego rolnictwa. Było to może życie powolne, senne i bez perspektyw na wielką rolę w historii, niemniej potrzeby cywilizacyjne mieszkańców miasteczka zaspokojone były nie gorzej niż gdzie indziej. Mówię zaś o Puchaczowie miasteczko, ponieważ tak tu w istocie wygląda: uliczki, rynek, gęsta, miejska zabudowa, skwer i górująca nad tym bryła kościoła. Puchaczów otoczony jest łąkami i niewielkimi zagajnikami, a wrażenie, iż tutejsza ziemia jest jakoś szczególnie zielona i bujna, uderza przy wjeździe do osady od strony Łęcznej. Nauczyłem się nie lekceważyć takich pierwszych wrażeń, chociaż najczęściej trudno byłoby wytłumaczyć je racjonalnie. Jednak tam, gdzie przyroda czuje się dobrze, zazwyczaj dobrze jest także człowiekowi. Tę intuicję potwierdził później wygląd tych kilku okolicznych wiosek, którym w ostatnim dziesięcioleciu pozwolono na normalny rozwój. Wieś tu zadbana, czysta, gospodarna, murowana i zmechanizowana, a ludzie pogodni i zadowoleni ze swojego losu.

Statystyczne gospodarstwo rolne nieco tu większe niż w reszcie województwa, nieco większe są także plony. **Dokończenie na str. 4-5**

# Trzydzieści dwa pytania do studentów (str. 3); Jak pomóc narkomanom (str. 4-5); Srebro dla chełmianina (str. 5); Konkurs młodych skrzyp- ków (str. 9,10); Świadkowie Jehowy o sobie (str. 10-11); W „Unii” i „Pod Basztą” (str. 16)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

# kamena

NR 20 (918)

2 października 1988

Cena 35 zł

Andrzej Chmielarczyk, Tomasz Jaworski, Adam Natanek, Andrzej Rozhin:  
**U PROGU SEZONU - rozmowy na gorąco** str.8-9



Scena z „Gałzki rozmarynu” — na pierwszym planie Grażyna Jakubecka (Stawa) i Jan W. Krzyszcak (Witek).  
Fot. Mieczysław Sachadyn



**W**JEDNYM z ubiegłorocznych numerów „Kamery” Ireneusz J. Kamiński pisał: „Syntetyczny a realistyczny w zespole cech zasadniczych wizerunek studenta naszego przedstawia indywidualizm jakby kielbasiane, wyprodukowane w jakiejś ogromnej, całkowicie zmechanizowanej masarni. Więcej w jego twarzy sprytu niż myśli, a z oczu, tych okienek duszy człowieczej, wyciera raczej zapobiegliwość i płaski praktycyzm, niż upodobanie do wiedzy samej w sobie czy ambitne dążenie do autokreacji kulturalnej. Ten syntetyk jest ministrem przeciętności na niskim poziomie, przesładowującym jako heretyków czy dysydentów tych nielicznych studentów, którzy nie chcą uczestniczyć w owej celebrze pod znakiem stopni zaledwie dostatecznych, tzw. państwowych”.

Nawet tak rygorystyczne sądy nie zwalniają nas wszakże od badań nad świadomością tej części narodu, którą zwykliśmy uważać za jego przyszłość; za owe drożdże, na których ma rosnąć przyszłościowe polskie ciasto. Pytanie o narodową tożsamość pozostaje przy tym, być może, pytaniem o wiele bardziej palącym obecnie niż kiedykolwiek dotąd. Mnożą się opinie o dezintegracji, o potarganiu więzi międzyludzkich, o zaniku patriotyzmu i ideałów w ogóle. Penetracja zatem stanu społecznej świadomości powinna służyć za instrument diagnostyczny, ale i za barometr. Bez skwapliwej obserwacji jego wskazań utracić możemy bowiem coś, czego odtworzenie wymaga pracy pokoleń, a co potrafi być utracone bezpowrotnie.

Sondaże profesorów Wiatra i Widerszpila rzuciły nieco analitycznego światła na stan świadomości klasy robotniczej w pierwszym przypadku i inteligencji w drugim. Ciekawą rzeczą wydaje się nałożenie na tło tego drugiego studium wyników badań nad stanem społecznej świadomości studenta. Badania takie przeprowadzono wiosną bieżącego roku. Choć grupa ankietowanych nie tworzy, być może, reprezentatywnej ilościowo populacji, to wyniki sondy znalazły swoje pełne wsparcie w analogicznych badaniach przeprowadzonych w innych ośrodkach akademickich kraju. W wielu zatem przypadkach możemy mówić o prawdach niemal obiektywnych.

Ankietowanym studentom trzeciego roku psychologii zadano trzydzieści dwa pytania, mające ustalić ich stosunek do narodowej przeszłości i teraźniejszości. 53,6 proc. ankietowanej młodzieży pochodziło z rodzin inteligentnych, 35,7 proc. z rodzin robotniczych, a 10,7 proc. ze środowiska wiejskiego.

Za, czynnik wyróżniający inteligencję spośród innych klas i warstw społecznych studenci uznali wykształcenie. W przypadku ankiety ogólnopolskiej tymczasem, większość badanych wskazywała tu na kulturę osobistą, a także poziom tzw. wiedzy ogólnej. Młodzież akademicka wykazuje więc w pojęciu hasła „inteligencja” tendencje zawężające, a przy tym wyraźnie syntetyzujące. Inteligencja jawi się studentom jako klasa pełna wewnętrznych sprzeczności, niejednolita. U źródeł tych konfliktów leżą, zdaniem tego środowiska, dysproporcje w poziomie zarobkowania. Społeczną powinność tej klasy widzi młodzież na ogół w upowszechnianiu wiedzy, rozwoju kultury i sztuki, nauki i techniki. Badania populacji samodzielnej zarobkowo różnią się w tym względzie znacznie. Ankietowani przez profesora Widerszpila za tło napięć wewnątrzinteligentnych uważają panujące w państwie nastroje antyinteligentne, a także niewypelnienie oczekiwań społecznych przez samą inteligencję. Na klasę tę nakłada się przy tym obowiązek sprawowania kierowniczej roli w państwie oraz organizowania jego życia społeczno-politycznego.

Historię widzi nasza młodzież jako proces kształtowany przez świadomość społeczną obywateli (sic!) oraz charakter sprawowanych rządów. Wpływ wybitnych jednostek na bieg wydarzeń ma, zdaniem studentów, znaczenie drugorzędne. Niemal całkowita zbieżność z ankietą ogólnopolską dotyczy oceny tych Polaków, którzy rozslawili, jak i tych, którzy zhańbili imię Polski w świecie. Do jednostek z pierwszej grupy zalicza się: Sobieskiego, Kościuszkę, Jana Pawła II i Wojciecha Jaruzelskiego, do jednostek grupy drugiej: Branickiego, Potockiego, Radziwiłłów oraz Edwarda Gierka i ekipę rządzącą w latach 70. Wydarzenia wysoce pozytywne z przeszłości naszego kraju to: bitwa pod Grunwaldem, powstania narodowe z XIX wieku, Konstytucja 3 Maja, negatywne zaś to: Konfederacja Targowicka, okres stalinizmu, wkroczenie wojsk polskich na Zaolzie w 1938 roku.

Odmienne niż dorosła populacja oceniają studenci historię ostatniego czterdziestolecia. Za peioratoryjne zjawiska tego okresu uważają oni przesładowania AK-owców po wojnie oraz — niektórzy — wprowadzenie stanu wojennego. Populacja dorosła zwraca zaś głównie uwagę na błędy gospodarcze i powtarzające się kryzysy społeczne. Pozytywne wydarzenia okresu Polski Ludowej to, zdaniem studentów, wybór Polaka na papieża, powstanie „Solidarności” oraz działalność Stefana Wyszyńskiego. Według innych badanych — to odbudowa kraju ze zniszczeń wojennych, rozwój oświaty, zmiany ustrojowe. Tak duża rozbieżność w widzeniu naszej najnowszej historii ma, jak się wydaje, swe źródło w inklinacji do ograniczenia cech wartościujących wyłącznie do czasu przez dane pokolenie przeżywanego. Brak tutaj myślenia w szerszym kontekście historyczno-sprawnym. Postawienie Gierka i jego ekipy w rzędzie zdrajców narodowych budżić musi jednak zdumienie.

W odniesieniu do tzw. białych plam w narodowej historii 100 proc. ankietowanych studentów stwierdza, iż spore obszary naszych dziejów pozostawały do niedawna w mrocznej nieświadomości i dezinformacji. Jako przykłady podawano Katyń, wkroczenie oddziałów radzieckich na wschodnie tereny Polski w 1939 roku,

okres stalinizmu, w odniesieniu zaś do postaci historycznych — niedostateczne eksponowanie sylwetek Józefa Piłsudskiego i Władysława Sikorskiego. Wyniki ankiety są w tym względzie niemal zupełnie zbieżne z sondą ogólnopolską. Komentując te fakty, profesor Widerszpil napisał: „Dla zawodowego historyka tzw. białe plamy oznaczają wydarzenia, które nie zostały z jakiegokolwiek powodów zbadane — z braku źródeł, trudności cenzuralnych itp. Dla zwykłego człowieka «białe plamy» to, po pierwsze — wydarzenia lub postaci, o których się nie pisze w popularnych gazetach nie mówią w audycjach telewizyjnych itp. Po drugie — gdy o określonym człowieku lub fakcie mówi się co prawda publicznie, ale inaczej «niż trzeba», nie-

różnie wiekowych obu ankietowanych grup. Studenci u progu swego życiowego startu obawiają się o dorosłą „pracowniczą” przyszłość, podczas gdy grupa starsza zainteresowana jest przede wszystkim utrzymaniem swego dotychczasowego dorobku. Owego młodzieżowego pesymizmu wobec przyszłości, swoistego zawieszenia w próżni” nie należy jednak w żadnym razie lekceważyć. W obu grupach badanych niepokojąco duży odsetek to głosy bądź zupełnie bezradne wobec szans uzdrowienia sytuacji, bądź skrajnie pesymistyczne.

Na ogół z poparciem, choć w sposób nieco paradoksalny wobec odpowiedzi wcześniejszych (zalety socjalizmu), spotkał się projekt odpłatności za niektóre świadczenia socjalne. Ponad połowa badanych

# Stan studenckiej świadomości

Wiesław Horabik, Aleksander Olszewski



Nie zawsze jest studentom tak wesoło...

Fot. Jacek Mirosław

zgodnie ze stereotypową «prawdą». I po trzecie — gdy konkretna postać nie jest odpowiednio honorowana i eksponowana”.

Wydaje się, iż stopień zainteresowania zagadnieniami politycznymi wzrasta wraz z rosnącym stopniem wykształcenia. Wśród studentów nie było, na przykład, nikogo, kto deklarowałby całkowitą obojętność wobec zjawisk tego obszaru (w ankiecie ogólnopolskiej aż 25 proc. badanych przyznało się do biernej postawy wobec polityki). W obu przypadkach wszakże połowa ankietowanych interesuje się tymi zagadnieniami połowicznie. Wiedzę polityczną czerpią studenci na ogół z TV, radia i prasy, choć niejednokrotnie wyrażają przy tym małe zaufanie do wiarygodności mass mediów.

Przy porównaniu formacji ustrojowych — socjalizmu i kapitalizmu — w obu grupach podnoszono także zalety formacji socjalistycznej jak: bezpłatne świadczenia socjalne, brak bezrobocia, bezpłatne nauczanie. Za wady socjalizmu uważano zaś częste kryzysy gospodarcze oraz niski stopień rozwoju nauki i techniki. Kapitalizm bronił się przede wszystkim stabilizacją gospodarczą i wysokim poziomem rozwoju technologicznego.

W szczególności interesującym, choćby ze względu na perspektywę rozmów przy okrągłym stole, temacie różnic politycznych w kraju, jedna trzecia badanych definiowała opozycję, jako bierne lub czynne przeciwstawianie się legalnej władzy, a zdecydowana większość dostrzegła istnienie tak rozumianej opozycji na politycznej mapie Polski. Za hamulec na drodze rozwoju kraju uznali studenci nieodpowiednią politykę gospodarczą, nieudolność władz, ale zarazem złą, nieefektywną pracę i brak dyscypliny w społeczeństwie. Źródła napięć społecznych to, zdaniem tego środowiska, nieodpowiednia polityka placowa oraz postępujący spadek stopy życiowej. Studenci podkreślali jednocześnie, iż w rozwiązywaniu powstających konfliktów najmniej skuteczny byłaby alternatywa byłoby rozwiązanie siłowe. Owe periodyczne niepokoje i napięcia społeczne wywołują w środowisku akademickim szczególne poczucie lęku o najbliższą przyszłość. Trwający kryzys mieszkaniowy, ciągle podwyżki cen oraz potencjalne trudności ze znalezieniem pracy stresy te potęgują.

Zupełnie inaczej odnosi się do tych problemów grupa badanych w ankiecie ogólnopolskiej. Szczególne zaniepokojenie wywołuje tu katastrofalna sytuacja ekologiczna Polski, groźba wojny jądrowej, pogorszenie się sytuacji materialnej rodziny. Tak odmienne interpretacje wynikają zapewne z

w obu grupach dopuszcza odpłatność za leczenie bądź szkolnictwo, częste są wszakże zdania, iż oznaczałoby to poważne odstępstwo od zdobytych ustrojowych. Zdecydowana większość badanych wypowiada się pozytywnie o projekcie zniesienia górnych pułapów wynagrodzeń. Studenci uważają przy tym, że zarobki powinny być w największym stopniu uzależnione od poziomu wykształcenia, zaś efektywność pracy i osobisty wkład stanowią czynniki kolejnie pod względem ważności. Owe preferencje edukacyjne są w odniesieniu do tej grupy zupełnie zrozumiałe.

Ostatnia część ankiety dotyczyła zainteresowań, aspiracji i planów życiowych ankietowanych osób. Cele życiowe okazały się tu umiarkowane i ograniczone do powszechnie funkcjonujących wzorców: założenie rodziny, zdobycie ciekawej pracy, osiągnięcie odpowiedniej pozycji materialnej. Zapytani o wizję tzw. „dobrego człowieka”, badani określali go, jako indywidualność gotową do bezinteresownej pomocy innym, osobą uczciwą, pracowitą, a przy tym odpowiedzialną i skromną. Wynik sondażu w końcowym fragmencie ankiety stanowi pewien pozytywny wskaźnik. Oznacza on bowiem, że mimo wielu trapiących nas trudności ekonomicznych, politycznych i społecznych, nie doszło jeszcze do dewaluacji podstawowych wartości w świadomości młodych Polaków.

Przytoczone na początku tekstu krytyczne uwagi naszego redakcyjnego kolegi posiadają jednak pewne wsparcie w wynikach przeprowadzonego sondażu. Razi u młodzieży studenckiej brak silniejszego zaangażowania w życie społeczno-polityczne państwa, koncentracja dążeń i aspiracji po materialnej stronie życia, niskie poczucie jedności i integracji narodowej, a także dość słabe wyrobienie polityczne. Niewielki procent badanych identyfikuje się z narodem jako całością, zdecydowana zaś większość utożsamia się jedynie z własną rodziną lub najbliższym środowiskiem.

Lubelską ankietę o świadomości społecznej studentów należy traktować jako badanie wstępne, wymagające dalszej analizy i szerszej próby. Uzyskane wyniki dają wszakże pewien obraz poglądów tej części naszego społeczeństwa. Obraz ten jest w wielu wypadkach tak kontrowersyjny, iż stanowić może zaczyn do szerokiej czytelniczej dyskusji.

**Powrót z „U”, powrót z udręki, z rozpaczy, z samotności? Idea powrotu do „ziemi obiecanej” miłości i pogody ducha wpisana jest na karty nowego towarzystwa pomagania rodzinom osób uzależnionych od narkotyków. Oddział Lubelski zorganizował więc swój pierwszy wyjazd na wczasy „terapeutyczne” dla potrzebujących pomocy rodzin do Wiselki, na dwa tygodnie...**

**P**IEKNY ośrodek wczasowy, wspaniała pogoda, czyste powietrze, dużo przestrzeni — wszystko to sprzyjało odprężeniu i bezstresce. Ułatwiała matkom, bo tych znalazła się tu przeważająca większość, otrząśnięcie się z napięć dnia codziennego, a czasem z myśli o własnej niemocy.

Były więc młodzieżki matki ze swoimi małymi dziećmi, jakby niechętnie akceptujące swój status, oddzielone od mężów, zagubione i próbujące zaznaczyć swą obecność dziecięcym ubiorem. Były matki starsze z małymi dziećmi o historycznych reakcjach, dziećmi ciągle karconymi, angażującymi swoim zachowaniem kogo się dają. Były też matki w średnim wieku ze starszymi dziećmi, dbające o to, aby dobrze wypaść w oczach innych, zwłaszcza w oczach synów. Tak wyglądał świat kobiet wypoczywających od trudnych problemów życia, bulwersowanych czasem zachowaniem młodzieży, która obok nich przybyła tu, aby także pracować z terapeutami.

Młodzież: w skórzanych, przybrudzonych kurtkach, z włosami przyciętymi w „grzebyk” lub natapirowanymi, ten i ów z kolczykiem w uchu, ktoś ze skórzanym pasem na biodrach... Dżinsy „latane” lub zgoła podarte, sfatygowane, podbite gumą buciki, pepegi, u kogoś jakaś apaszka, blok taniach „bransolet”, koraliki, sznurki, wisiorzy...

Młodzież, o której mowa, wywodziła się z Lublina: uczniowie szkół zawodowych, którym życie w domu i nauka nie układa się gładko.

Kim są ich rodzice? Na ogół to tzw. porządni ludzie: krawcowa, księgowa, pracownik biura, zeglarz, rzemieślnik, kolejarz, nauczycielka w przedszkolu, dozorca, taksówkarz, kucharka, bibliotekarka, jakiś prezes, jakiś kierownik działu itd. Rodzice z pewnością należą do dobrych pracowników w swoich zawodach, zawiedli jednak w rodzinie. A ta prawie u wszystkich jest częściowo rozbita, niepełna, w jakiś sposób wypaczona. Marzenia młodych są ograniczone: skończyć szkołę zawodową, pójść do pracy, niekiedy do liceum zawodowego, w jednym przypadku — na uniwersytet. W zasadzie nikt z tej grupy nie ma negatywnych wizji przyszłości z wyjątkiem dziewczyny, która obiecała matce, że będzie „brała” dotąd, aż zjedzie na samo dno!

W grupie zdominowanej przez chłopców była jeszcze jedna dziewczyna: miła, sympatyczna, ale wychudzona, lekko, reagująca protestem głodowym przy ładzie niepowodzeniu. Zachowywała się rytualnie. Gdy zasiadała do stołu, machała rękami, pochylała się do przodu mówiąc: „to okropne, nie jem”. Po czym wyczekiwała nieco, odczytywała reakcję współbiedniaków oczekując odruchów solidarności.

Rano odbywały się ćwiczenia bioenergetyczne i projekcyjne, prowadzone przez trenerów z Lublina: Jacka Ważkę i Annę Nalclicą, sekretarza lubelskiego oddziału „Powrót z U”. Sylwetki młodych jakby zatrzymały się w rozwoju, chłopcy i dziewczęta męczyli się, nie trzymali żadnego rytmu. Uspokajanie, obniżanie napięcia trwało kilka dni. Wreszcie osiągnięto pierwsze efekty, pierwsze sygnały psychicznej łączności. Pewnego dnia zjawili się na zajęciach wykapani i czysti.

Trzeba jednak wiedzieć, że „czystość” to nie naturalne środowisko życia tej młodzieży. Ona się

przeciw niej buntuje, identyfikując z tym, co przymusowe, nienormalne. Tacy „czysti” są przecież rodzice. Woli więc zapach potu, moczu, butagrenu itd. Woli, bo poniekąd musi polubić zapach suten, strychów, dworców, klatek schodowych, głównego środowiska życia, które upływa jej poza domem.

Lęk przed „czystymi” jest usprawiedliwiony, bo co np. ma zrobić chłopiec reagujący agresją na wszelkie gesty pomocy, gdy wie, że za parę dni skończy się dobre jedzenie i spanie na luksusowych wczasach i że będzie musiał powrócić donikąd, na jakąś klatkę schodową, na wyproszony obiad, na wyzebraną herbatę? Woli więc się nawet nie rozbiierać do snu. Czy pomoże mu „powrót z U” w załatwieniu jakiegoś legowiska w internacie, hotelu robotniczym, czy w akademiku, choćby na jakiś czas?

Obawiam się, że tak się nie stanie, mimo zebrania rodziców, którzy burzliwie radzili nad tym, żeby kupić chłopcu spodnie, bo te, w których chodził, nie nadawały się już do załatania. Spodnie kupić łatwiej niż „załatwić” miejsce do spania lub pracę. Ale sprawa ta może być testem dla młodego towarzystwa, które skupia gotowych do niesienia pomocy rodziców. Swą drogą i rodzice potrzebują pomocy...

Towarzystwo zadbało o to, by taka pomoc była, przynajmniej na wczasach. Grupę terapeutyczną dla rodziców prowadził Dariusz Perszko z Lublina i Wioletta Świdarska ze Szczecina, absolwenci Studenckiej Szkoły Higieny Psychiczonej. Rodzice najbardziej lubili ćwiczenia bioenergetyczne, gorzej było z ćwiczeniami projekcyjnymi, a najgorzej z wyrażaniem uczuć. Przywiązani do własnych stereotypów, deklarowali miłość lub tolerancję, ale gdy to głosili, zaciskali się im pięści. Jedna z matek, której piękny syn znajdował się teraz w ośrodku terapeutycznym, a przedtem za-

liczył poprawczak, przyznała z naciskiem: „Byłam tyranem”. Z trudem jednak słuchała cudzych wynurzeń, po wyjściu z zajęć zwierzała się innej matce: „Proszę pani, nie można im tak do końca wierzyć, niech sobie mówią, co chcą, a ja wiem swoje”. Ta sama matka wyznawała, że nie lubi okazywać uczuć, ale lubi oglądać piękne ciała i chciałaby być piękna, a nie jest. Od szesnastego roku życia wychowywała się sama, jest twarda, pryncypialna, rzadko się uśmiecha.

Na zajęciach było też młode małżeństwo. Ona czuła, że „coś” ją rozrywa. Chciała pobiegać. Tera-

# Powrót z „U”?

Tadeusz Kobierzycki

peutka zasugerowała, żeby pracowała na miejscu. Zachęty, negocjacje. Wreszcie zdecydowała: „Chciałabym pogadać do lustra, sama bez świadków”. Jako lustro posłużyła jej inna matka. Terapeuta przyjął na siebie rolę tłumacza symbolicznej, zaszyfrowanej mowy lęku i wstydu. Powtarzały się słowa: „żał, koniec, wyjeżdżam, plywam, idę przez las” itd. Terapeuta odszyfrowywał osamotnienie, brak przyjaciela, brak oparcia, chęć dominacji, przemoc wobec siebie i najbliższych. Jako „tłumaczka” włączyła się Joanna Mrozek mająca do spełnienia rolę „interwencji terapeutycznej” i dokumentalisty naukowego. Odczytała inną stronę komunikatu: „Chcę być mała, chcę żeby mnie ktoś przytulił, chcę być słaba, chcę być kobietą”. Ktoś zasugerował: „Zwróć się do męża i powiedz mu: „kocham cię, bo...”. A potem powiedz sobie: „kocham siebie, bo...”. Znajdź trzy powody dla tej miłości”. „To trudne” — slychać odpowiedź. Ale wreszcie powody się znalazły. Żona w objęciach męża wyznała: „czuję się jak panna młoda”.

Rodziców poproszono na początku wczasów, aby nie interweniowali w sprawę młodzieży. Niektórzy przestrzegali tego skrupulatnie, wylaływała się z tego osoba, która nazywała siebie „matką byłego narkomana”. Tymczasem „były narkoman” przedstawiał się jako kandydat na terapeuta wykształcony na patentach Monaru. Ten chłopiec miał zwyczaj wpadać na zajęcia z rękami w kieszeni, spoglądał z góry i negatywnie oceniał pracę innych. Kłopotował w tym względzie komunikacyjne stereotypy swojej matki. „Co wy tu robicie, w czym wy możecie pomóc, to ja mógłbym wam pomóc” itp. Na konkretną propozycję takiej pomocy trząsał się ze złości. W ogóle bardzo często wpadał w pewien rodzaj wibracji psychicznej i pewnie dlatego przestawił się z narkotyków na alkohol.

## W Puchaczowie

Dokończenie ze str. 1

ny czterech zbóż i buraków cukrowych. Kilka wsi współpracuje z zakładem przetwórstwa w Milejowie, dostarczając pomidory, truskawki, maliny, ogórki i groszek. Jest to bardzo korzystna dla plantatorów współpraca, co widać po pięknych i dużych domach w Ostrówku, Szpicy i Ciechankach.

I oto w tej wyłącznie rolniczej gminie ludzie dowiadują się, że będzie tutaj kopany węgiel. Pamiętamy, że piętnaście lat temu inaczej patrzyło się na wielki przemysł, a zainicjowany przez ekipę Gierka boom gospodarczy, oparty na kredytach, skłaniał do łatwego optymizmu. Obszary typowo rolnicze, bez przemysłu, uchodziły w ówczesnej opinii za zacofane, a budowanie fabryk nazywało się nadrabianiem wiekowych zaniedbań. Lubelszczyzna, jak i inne województwa pozbawione dymiących kominków, miała więc kompleksy, że jest za bardzo wiejska. Z przemysłem utożsamiano zresztą potężną — i bardzo tutaj potrzebną — infrastrukturę. Z tym zawsze było na tym terenie klepsko. Rolnictwa nigdy po wojnie nie uważano w Polsce za czynnik rozwojowy, za lokomotywę gospodarki, chociaż od uporządkowania gospodarki żywnościowej i zarzucenia rynku dobrą, taną żywnością zaczynał się kiedyś fenomenalny cud gospodarczy Szwecji i Danii. Toteż skutki tego mniemania, że rolnictwu nie są potrzebne dobre drogi, telefony, sprawni

skup i błyskawiczna obsługa techniczna ciągle odczuwamy we własnych żołądkach. Osobiście nie pamiętam oresu, kiedy żywności byłoby w kraju pod dostatkiem. I obawiam się, że czasów takich nie dołączym, ponieważ filozofia rozwoju gospodarczego w dalszym ciągu preferuje stal i węgiel przed komputerami, czystym powietrzem i wydajnym rolnictwem.

O węglu zaczęto mówić w Puchaczowie w 1972 roku i było to mówienie ze wszelkich miar pozytywne. Władze miasteczka i jego mieszkańcy już-widzieli dobrze zaopatrzone i funkcjonujący handel, nowoczesną służbę zdrowia, przedszkola, żłobki, cały ten blichtr wielkiego świata, który przyciąga młodych ludzi, znudzonych nieciekawym grzebaniem na roli. Lubels-

ka prasa dobrze zresztą podgrzewała takie nastroje, pisząc o świetlanej przyszłości i historycznej szansie, przed jaką stoją teraz ludzie i cały ten region. Rysowano plany i projekty, które miały uszczęśliwić mieszkańców Łęcznej i okolicznych wsi. Dobrze pamiętam te ilustracje w prasie, przedstawiające jakieś miasto z bajki, w które miała przemienić się Łęczna: śliczna architektura i dużo drzew. Wydawało się, że wreszcie, po tylu latach, potrafimy zbudować wielki przemysł bez zadawania gwałtu tradycji, niszczenia rolnictwa i przyrody. To było wtedy prawie pewne i ludzie czekali na lepsze życie i większe pieniądze.

Pierwsze decyzje zapadły w roku 1974 i, jak to zwykle u nas bywa, najbardziej zainteresowani dowiedzieli się

o nich na końcu. Lubelskie Zagłębie Węglowe zaprojektowano z rozmachem, nie żałując śmiałych, nowatorskich pomysłów technicznych i urbanistycznych. Pod tzw. Centralny Rejon Węglowy zarezerwowano około 240 kilometrów kwadratowych, z czego w samej gminie Puchaczów znalazło się dwanaście wsi. Według Aleksandra Szpilewicza, który od lat zajmuje się tym tematem, ponad 2/3 zarezerwowanego obszaru (17 tysięcy ha) to ziemie rolnicze pierwszej i drugiej klasy oraz doskonale łąki. Zarezerwowano — ale ociążano się z opracowaniem szczegółowych planów zagospodarowania tych terenów. Toteż na wszelki wypadek w Puchaczowie i owych dwunastu wioskach zabroniono jakichkolwiek inwestycji gospodarczych i bytowych. Zwłaszcza, że w całej gminie znajduje się wsi piętnaście, można bez przesady powiedzieć, że gminie przetrącono kręgosłup. Wszystkie budowy stanęły także w samym Puchaczowie. Pierwszy sekretarz miejscowego Komitetu Gminnego PZPR, Roman Matuszkiewicz powiada, że przeżył chyba sześć koncepcji tworzenia lubelskiego zagłębia, a była wśród nich i taka, że Puchaczów miał zostać zrównany z ziemią i zaorany. W każdym razie nie pozwolono na przykład na wybudowanie bardzo tu potrzebnego przedszkola. Rzecz niby mała, ale nie w skali miasteczka. Mieszkaniec Łęcznej, która dojeżdża tutaj do pracy, nie przyjęło dziecka do przedszkola w... Łęcznej, ponieważ „Puchaczów nie dla nas nie zrobił”. Nie dajmymy się tego rodzaju argumentom, gdyż nawet jeżeli są z innego świata, to jednak pozostają faktem, twardym faktem tutejszej rzeczywistości, który wyciska piętno na codziennym życiu.

Tak więc do poczucia dyskryminacji w skali społecznej, w skali, powiedz-



Fot. Jan Trembecki



# 1918 — 1939: Mniejszości narodowe na Lubelszczyźnie

Jerzy Doroszewski

**O**BOK Polaków znaczny odsetek mieszkańców Lubelszczyzny w okresie międzywojennym stanowiły mniejszości narodowe. W powiatach wschodnich (chełmski, włodawski) oraz na Zamojszczyźnie (bilgorajski, hrubieszowski, tomaszowski, zamojski) było stosunkowo dużo Ukraińców. W 1931 r. przyjmowano ich odsetek na 8,7 proc. ogółu mieszkańców Lubelszczyzny. Bezpośrednio przed wybuchem wojny (w 1939 r.) ludność Zamojszczyzny liczyła 24,3 proc. Ukraińców. W zdecydowanej większości mieszkali oni na wsi, a ich głównym źródłem utrzymania było rolnictwo.

Ludność narodowości niemieckiej na Lubelszczyźnie to potomkowie dawnych kolonistów niemieckich, osiedlających się tu w latach 1815—1915. Owi koloniści początkowo tworzyli zorganizowane oraz zwarte skupiska i przez stosunkowo długi okres zachowywali odrębność, w miarę upływu czasu podlegali jednak systematycznemu procesowi polonizacji, który najszybciej przebiegał na Zamojszczyźnie, natomiast zdecydowanie wolniej — w powiatach chełmskim i lubartowskim, gdzie Niemcy zachowali odrębność jeszcze w okresie międzywojennym (w większości byli wyznania ewangelickiego). W 1931 r. ludność województwa lubelskiego liczyła około 0,9 proc. potomków dawnych kolonistów niemieckich zachowujących swoją odrębność narodową.

Najliczniejszą grupą narodowościową byli Żydzi, którzy w 1931 r. stanowili 12,8 proc. ogółu mieszkańców województwa. Mieszkali przede wszystkim w miastach i miasteczkach, a źródłem ich utrzymania był głównie handel, czasami rzemiosło.

Każda z wymienionych grup w miarę stworzonych możliwości starała się kultywować własne tradycje i utrzymywać swoją odrębność. Nie zawsze było to możliwe, bowiem stosunek państwa polskiego do poszczególnych mniejszości narodowych nie był jednakowy. W najkorzystniejszej sytuacji znajdowali się Żydzi, gdyż obowiązujące prawodawstwo szkolne zezwalało na powoływanie prywatnych szkół żydowskich z językiem hebrajskim bądź żydowskim — jidysz. Szkoły powszechne najczęściej prowadziło Zjednoczenie Szkół Żydowskich, czasami inne organizacje i stowarzyszenia, natomiast szkoły średnie ogólnokształcące — głównie osoby prywatne. W obu przypadkach wymagano tylko przestrzegania powszechnie obowiązujących w szkolnictwie polskim wymogów i przepisów.

Inaczej realizowano politykę oświatową w stosunku do Niemców i Ukraińców. Potomkowie dawnych kolonistów niemieckich ulegali — jak wspominałem — systematycznej polonizacji (przestały funkcjonować niemieckie szkoły elementarne, nie istniały organizacje o charakterze oświatowym). W życiu codziennym używali języka polskiego i nie uzewnętrzniali dążeń na-

rodowościowych. Ukraińcy, którzy cały czas żyli przede wszystkim w większych skupiskach wiejskich, posługiwali się językiem ukraińskim i w zdecydowanej większości byli wyznawcami religii prawosławnej. Mimo takiej odrębności młodzież ukraińska mogła uczęszczać tylko do szkół polskich, bowiem szkolnictwo z językiem ukraińskim na Lubelszczyźnie nie istniało. Ukraińcy bojkotowali więc szkoły polskie, a to prowadziło do analfabetyzmu (wśród ludności ukraińskiej był on zdecydowanie większy niż u Polaków).

## ŻYDZI

Ze względu na liczbę ludności i rozmiary prowadzonej pracy oświatowej wśród dorosłych na szczególną uwagę zasługiwał Żydzi. Ludność żydowska wyróżniała się przede wszystkim zdecydowanie wyższym ogólnym wykształceniem. Analfabetyzm u Żydów był zjawiskiem wyjątkowym i uznawanym za zjawisko wręcz poniżające. Podstawy edukacji zdobywały dzieci żydowskie w szkole, ale także w „chederze” albo w „Taldum-Torze” — zakładach religijnych obejmujących naukę religii, a równocześnie dających podstawy czytania i pisania w języku hebrajskim (pomijały inne przedmioty ogólnokształcące). Umiejętność pisania i czytania oraz wykonywania przynajmniej podstawowych działań arytmetycznych wiązała się z istotnymi potrzebami życia codziennego: przy pracy w handlu i rzemiośle była ona nieodzowna. Wymienione momenty decydowały o znacznie zwiększonym zapotrzebowaniu pracy oświatowej wśród młodzieży i ludności dorosłej. Prowadziła ją zarówno stowarzyszenia i organizacje o charakterze ogólnokrajowym jak i lokalnym. Ze względu na ich różnorodność, uwarunkowaną przede wszystkim czynnikami lokalnymi, posługiwano się językiem hebrajskim, żydowskim — jidysz oraz polskim.

Spośród licznych żydowskich organizacji oświatowych, działających w ca-

łym kraju, trzeba wymienić przede wszystkim Stowarzyszenie „Kultur-Liga”. Do życia powołano je 6 marca 1926 r. i w ciągu kilku lat zorganizowano już 62 oddziały z liczbą 4 tys. członków. Na Lubelszczyźnie „Kultur-Liga” posiadała swoje ogniska we wszystkich większych miastach oraz w wielu osadach, m.in. w Międzyrzeczu, Opolu, Puławach, Żelichowie, Białej Podlaskiej, Kałimierzu, Tomaszowie, Zamościu, Szczepieszynie i Lublinie.

„Kultur-Liga” działała głównie w środowisku robotniczym i znajdowała się pod wpływami najbardziej lewicowego ugrupowania „Bundu”. W ramach prowadzonych prac rozwijano czytelnictwo (każdy oddział posiadał bibliotekę), organizowano szeroką akcję odczytową, najczęściej o wyraźnym charakterze politycznym.

W 1921 r. założono Żydowskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe „Tarbut”, które w 1928 r. liczyło już 29 tys. członków. W województwie lubelskim posiadało ono swoje ogniska we wszystkich powiatach, i wszystkich większych skupiskach ludności żydowskiej. „Tarbut” koncentrował się na prowadzeniu ochronek i szkół, organizacji kursów wieczorowych, uniwersytetów ludowych oraz szerokiej pracy wśród dorosłych (kluby, czytelnice, biblioteki, wykłady, odczyty).

W 1927 r. powołano do życia Żydowskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe „Jabne”. Nie cieszyło się ono wielką popularnością, ale zdołało zorganizować znaczną liczbę swoich ognisk. „Jabne” zajmowało się popularyzowaniem kultury żydowskiej, głównie wśród dorosłych, organizowało kursy wieczorowe, uniwersytety ludowe, kluby, czytelnice. Zarówno w statucie, jak i w bezpośredniej działalności, akcentowało swój charakter wyznaniowy — koncentrowało się na upowszechnianiu przedmiotów judaistycznych i języka hebrajskiego.

Na Lubelszczyźnie znacznie większą popularność niż w innych rejonach kraju zyskało sobie Towarzystwo Kul-

# 1940 — 1945: Polacy internowani w Szwajcarii

Jan Lewandowski

**Z**OLNIERSKIE drogi Polaków, zapoczątkowane we wrześniu 1939 r., zaprowadziły kilkanaście tysięcy mężczyzn w polskich mundurach na teren neutralnej Szwajcarii. 19 i 20 czerwca 1940 r. granicę francusko-szwajcarską przekroczyła, po stoczeniu walk z Niemcami we Francji, 2 Dywizja Strzelców Pieszych. Utworzona w końcu 1939 r. na ziemi francuskiej, miała w swym składzie żołnierzy-uczestników walk wrześniowych i emigrantów polskich z Francji. Dowodzona przez generała brygady Bronisława Prugara-Ketlinga, polska dywizja przekraczała granicę w zwartych szeregach, z pełnym uzbrojeniem i wyposażeniem, co raziło odbijając od rozbitych, zdemoralizowanych i rozprężonych oddziałów lub grup żołdaków francuskich. Łącznie z żołnierzami innych jednostek polskich zostało internowanych w Szwajcarii 12388 Polaków.

Zyczliwość, z jaką na ogół przyjmowała polskich internowanych ludność szwajcarska, kontrastowała z

powściągliwą postawą władz, które zwłaszcza w pierwszych latach wojny, latach sukcesów III Rzeszy, starały się nie drażnić swego potężnego sąsiada i skrupulatnie przestrzegać ustalonych przez konwencje międzynarodowe warunków internowania. Oznaczało to dla Polaków, po rozbrojeniu, zamknięcie w obozach dla internowanych, zakaz kontaktów z ludnością miejscową i polskim przedstawicielstwem w Bernie. Sytuacja była złośliwa i zmieniała się w ciągu pięciu lat internowania. Z jednej strony propolskie sympatie, pamięć o Narutowiczu i Paderewskim, z drugiej — proniemieckie nastawienie części społeczeństwa i polityków, konieczność liczenia się z realiami polityczno-wojskowymi w otoczonej przez faszystowskie Niemcy i Włochy Szwajcarii. Zyczliwość i zrozumienie jednych, niechęć, a czasem tylko chęć zademonstrowania swej władzy, przedstawicieli miejscowej administracji.

Ze strony dowództwa dywizji, wkrótce po rozpoczęciu internowania, podjęto szereg przedsięwzięć mających na celu wykorzystanie pobytu w Szwajcarii z myślą o dalszej walce zbrojnej

i o życiu powojennym. Starano się o zachowanie dyscypliny wojskowej, licząc się z możliwością użycia dywizji do działań bojowych przed zakończeniem wojny. Dlatego też zabronione i potępione były samowolne ucieczki z obozów. Starano się wykorzystać każdą okazję do prowadzenia nielegalnego szkolenia wojskowego całego stanu osobowego dywizji.

Oprócz szkolenia w poszczególnych obozach utworzono w 1942 r. centrum szkolenia w Pfäffikon w kantonie zuryskim. Cykle szkoleniowe trwały sześć tygodni lub trzy miesiące, a szkolenie obejmowało wszystkie specjalności wojskowe w dywizji: piechotę, artylerię, zaopatrzenie, łączność itd. Zajęcia prowadzono w salach wykładowych i w terenie, posługując się mapami i skryptami, wydanyymi (oczywiście nielegalnie) przez sztab dywizji. Szkolenia na taką skalę nie można było całkowicie ukryć przed władzami internowania. Wiedząc o akcji szkoleniowej i o istnieniu szkół podchorążych, władze szwajcarskie ograniczały się na ogół jedynie do rejestrowania faktów.

Dla Szwajcarii, zagrożonej planami niemieckimi, lata II wojny światowej były okresem wzmożonego wysiłku wojskowego i gospodarczego. Szybka i sprawna mobilizacja dała armii szwajcarskiej, dowodzonej przez generała Henri Guisana, 400 tys. żołnierzy. Prowadzono na szeroką skalę prace fortyfikacyjne, licząc się z możliwością niemieckiego ataku. Władze szwajcarskie podjęły też ogromny wysiłek gospodarczy, aby uniezależnić się od dostaw żywności i surowców z zagranicy. M.in. w latach 1939—1944 podwojono powierzchnię pól uprawnych.

Po klęsce Francji Szwajcaria została otoczona przez państwa faszystowskie. W takiej sytuacji władze szwajcarskie zdecydowały się na włączenie polskich internowanych do prac gospodarczych i wojskowych. Według obliczeń sztabu dywizji dziełem Polaków

było zbudowanie 227 km nowych dróg, 63 mostów i osuszenie 686 ha ziemi. Prowadzono też prace leśne, przy budowie kanałów, regulacji rzek i budowie zapór wodnych. Polacy uruchomili nieczynne dotychczas kopalnie i pracowali w nich. Najwięcej jednak czasu poświęcano pracom o charakterze wojskowym — przy budowie dróg strategicznych, baraków, stanowisk artyleryjskich, lotnisk, zasieków, instalacji i linii telefonicznych. Prace te, prowadzone w trudnych, wysokogórskich warunkach, internowani uważali za swój bojowy, żołnierski obowiązek, wykonywali je chętnie i chlubili się nimi. Szwajcarzy nazywali te ważne dla ich gospodarki i obronności obiekty „Polenwerke”.

Za swą pracę żołnierze polscy otrzymywali skromne wynagrodzenie. Z tych przede wszystkim środków pochodziła pomoc, jaką internowani niesli swym rodakom, którzy w czasie wojny znaleźli się w jeszcze trudniejszej sytuacji. Około dwóch milionów franków szwajcarskich przekazali na rzecz swych rodzin w kraju. Ponad milion franków zebrano na różne cele charytatywne. Akcja pomocy objęła m. in. dzieci i rodziny żołnierzy-emigrantów we Francji, dzieci polskie pod okupacją niemiecką, Polaków na terenie Związku Radzieckiego, jeńców polskich w Niemczech, Polaków internowanych we Włoszech i Hiszpanii, dzieci jugosłowiańskie.

Znaczne zróżnicowanie żołnierzy pod względem wykształcenia: od analfabety po profesora uniwersytetu (sierżant podchorąży Adam Vetulani, profesor prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego) stwarzało ogromne możliwości kształcenia na różnych szczeblach. Około 500 internowanych uzyskało świadectwo ukończenia szkoły powszechnej. Na szeroką skalę rozwinięto szkolenie zawodowe. Pewne wyobrażenie o rozmiarach i rezultatach te-

turalno-Oświatowe „Freiheit” (pozwolane do życia w 1930 r.). Obojętne akcje organizowane przez wszystkie podobne stowarzyszenia oświatowe. „Freiheit” znacznie większą wagę przywiązywał do krzewienia kultury: urządzał koncerty, przedstawienia teatralne, wycieczki i prowadził szkoły dla robotników. Stosunkowo dużą liczywność wykazywało także „Towarzystwo Kursów Wieczorowych dla Robotników Żydowskich”, które w dziesięciu powiatach posiadało 20 swoich oddziałów. Prowadziło ono przede wszystkim akcję odczytową, m.in. w 1933 r. zorganizowało cały cykl wykładów poświęconych sytuacji Żydów w Europie, głównie w Niemczech po dojściu do władzy Hitlera.

W niektórych miastach powołała swoje ogniska „Żydowska Liga Oświaty Ludowej”, ale nie zanotowała ona większych osiągnięć, ponieważ już w 1931 r. została zlikwidowana. W rozwoju czytelnictwa największe sukcesy odnosiło stowarzyszenie „Biblioteka im. I. L. Pereca”, które posiadało swoje ogniska we wszystkich miastach powiatowych i niektórych mniejszych. W upowszechnianiu zarówno oświaty jak i kultury znaczną rolę odgrywały też organizacje lokalne, a także teatry obywatelskie.

## UKRAJŃCY

Inaczej, jak napomknąłem, odbywał się rozwój oświaty pozaszkolnej wśród Ukraińców. Podstawowy dokument regulujący kwestię szkolnictwa dla mniejszości narodowych, jakim była Ustawa z 31 lipca 1924 r., przewidywał powoływanie tzw. szkół utrakwistycznych, tj. dwujęzycznych, lecz z wyłączeniem obszaru woj. lubelskiego. W ten sposób ludność ukraińska na Lubelszczyźnie została pozbawiona własnego szkolnictwa państwowego jak i prywatnego. Głównym ośrodkiem ruchu społeczno-oświatowego i narodowego wśród ludności ukraińskiej od początku stała się Chelmszczyzna, 14 października 1919 r. w Chelmie powołano Towarzy-

stwo Dobroczynności i Oświaty „Ridna Chata” (Ojczyzny Dom), a jego organizatorami byli: Mikołaj Bogdański, Antoni Kowalczyk, Jakub Pawlik i Antoni Wasylczuk. Siedziba centrali „Ridnej Chaty” znajdowała się w teatrze „Polonia”, gdzie zorganizowano również bibliotekę, chór, kółko dramatyczne i zespół ukraińskich tańców ludowych. Już jednak w 1921 r. „Ridna Chata” została zawieszona i jej działalność wznowiono dopiero w wyniku interwencji senatorów i posłów ukraińskich w 1922 r. Przełomowym momentem w działalności „Ridnej Chaty” był zjazd delegatów w 1929 r. Posiadała już wtedy swoje ogniska w dziewięciu powiatach i w 130 filiach, liczyła 3500 członków. Nastąpiło też zbliżenie organizacji z jedynym tygodnikiem wydawanym w języku ukraińskim na Lubelszczyźnie, jakim był ukazujący się w Chelmie „Nasze Zytija”. Jej redaktor naczelny, Jan Kozaczuk, wszedł w skład zarządu organizacji, a lamy tygodnika stały się główną trybuną „Ridnej Chaty”. Systematycznie prowadzona praca organizacyjna przynosiła rezultaty: zwiększała się ciągle liczba ognisk i członków. Zmieniono statut i poszerzono program prac. Zebrano znaczny kapitał (2330 zł) na własny dom, zwiększyły się zasoby księgozbioru. W toku przeprowadzonych zajęć starano się kultywować ludowy folklor ukraiński — organizowano zespoły śpiewacze, czytelnicze, dramatyczne, urządzano publiczne występy własnych zespołów artystycznych. Szczególną uwagę zwracano na przybliżenie do pracy kobiet i szkolnych dzieci. Dla tych ostatnich organizowano specjalne wieczorki i spotkania, podczas których odbywały się różnego rodzaju gry i zabawy w języku ukraińskim. „Ridna Chata” często utrzymywała kontakty z lewicowym ruchem ukraińskim, w tym także z KPZU. Fakty te, potwierdzone m.in. w powiecie chelmskim, stanowiły wystarczający powód do ostatecznego rozwiązania w 1934 r. całej organizacji.

W pow. bilgorajskim podobną działalność oświatową próbowało prowa-

wadzić „Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe im. Michała Kaczkowskiego”, którego centrala znajdowała się we Lwowie. Na początku lat trzydziestych powołało ono swoje trzy oddziały, tzw. czytelnie, w Biszczu, Chmielku i Tarnogradzie. Dalsze próby zorganizowania nowych placówek, m.in. w Babicach, zostały przez starostwo załatwione odmownie.

Wśród ludności ukraińskiej stosunkowo dużą popularnością cieszyły się różnego rodzaju czasopisma i książki. Sprowadzane je najczęściej ze Lwowa na zasadzie prenumeraty. W niektórych powiatach ciągle żywe były tradycje amatorskiego ruchu kulturalnego. Korzystając z poparcia cerkwi i organizacji gospodarczych (kooperatyw) młodzież organizowała zespoły dramatyczne i chóralne, a ich występy we własnej miejscowości jak też w sąsiednich zawsze cieszyły się dużą popularnością. Lubelszczyznę odwiedzały też liczne ukraińskie zespoły artystyczne i teatralne.

## NIEMCY

Jeszcze inaczej wyglądał rozwój oświaty pozaszkolnej wśród mniejszości niemieckiej. Wiązało się to przede wszystkim z rozwojem faszystowskiej do władzy Hitlera, kiedy to oficjalnie działające organizacje oświatowe zaczęły zmieniać swój charakter. Na Lubelszczyźnie głównym ośrodkiem ruchu narodowo-socjalistycznego stał się powiat chelmski, gdzie duże wpływy posiadał Deutsche Volksverband in Polen (DVV) — Niemiecki Związek Ludowy. W roli przywódców i organizatorów DVV wystąpili kantorzy: Juliusz Lindner z Woły Korybutowej, Rudolf Prybe z kol. Bekisza, Rudolf Krygier z Zarówek, a także August Rosen i Adolf Nikiel. Dzięki ich agitaacji pod koniec lat trzydziestych funkcjonowały na Lubelszczyźnie 34 oddziały tej organizacji (w sześciu powiatach). Pod wpływem prowadzonej propagandy coraz częściej zdarzały się

wypadki odmawiania przez dzieci dawnych kolonistów nauki języka polskiego, geografii i historii Polski przy równoczesnym żądaniu wprowadzenia do nauki języka niemieckiego. Wymienionej kantorzy pod pozorem lekcji religii ewangelicznej prowadzili lekcje języka niemieckiego i historii Niemiec, nastawiali uczniów wrogo do szkoły polskiej nakłaniając ich do odmawiania nauki w polskim języku. Zaczęto także tajne nauczanie przy pomocy własnych sił pomocniczych i wędrownych nauczycieli. W listopadzie 1938 r. przybyła do Chelma (zamieszkała u Juliusza Lindnera) wysłanniczka lwowskiego oddziału DVV, Gertruda Manz Dołkonalą ona kontroli prac, przeprowadziła zajęcia dla różnych grup wiekowych. Najwięcej czasu poświęcała na spotkania z młodzieżą oraz kobietami.

Podobną działalność oświatową podjęła również druga czołowa partia obozu hitlerowskiego w Polsce: Jung Deutsche Partei (JDP) — Partia Młodych Niemców. Powołała ona wprawdzie tylko dwa swoje oddziały (w pow. garwolińskim — w kol. Brzeście i Podolu Nowym), ale rozwinęła bardzo aktywną i wrogo działalność. Podczas zebrania organizacyjnych używano tylko języka niemieckiego. W okresie od 14 do 20 grudnia 1936 r. w Podolu Nowym zorganizowano kurs kulturalno-oświatowy dla działaczy miejscowych jak też z innych województw, który poświęcono na omówienie zagadnień kulturalnych, nauce języka niemieckiego, historii i geografii Niemiec. 8 maja 1938 r. w tejże miejscowości na zebraniu organizacyjnym podjęto rezolucję żądającą wprowadzenia do szkoły języka niemieckiego. W okolicznych miejscowościach starano się upowszechniać kulturę oraz gazety sprowadzane z Niemiec. W kol. Brzeście dużą popularność zyskała sobie akcja domokrajnego rozprowadzania kolportowanych z Niemiec odbitek z przemówieniami Hitlera. Owoce tej działalności mogliśmy po wrześniu 1939 r. odczuć na własnej skórze. Ale to już osobna historia...

go szkolenia, prowadzonego w ośrodkach w Matzigen i Töss (przedmieście Winterthur), może dać przedstawić działalność tego ostatniego ośrodka, kierowanego przez ppor. inż. Tadeusza Rzewuskiego. Przeprowadzono tutaj dziesięć kursów mechanicznych i elektrotechnicznych w grupach: tokarskiej, spawalniczej, ślusarskiej, elektromonterskiej, radiotechnicznej, elektroinstalacyjnej i samochodowej. Ośrodek miał bogato wyposażone warsztaty, a niektórzy spośród jego 193 absolwentów odbywali praktyki w zakładach szwajcarskich. Dorobek wydawniczy ośrodka obejmował 12 podręczników, służących w pierwszych latach po wojnie także w polskim szkolnictwie zawodowym. Podręcznik „Obróbka metali przez skrawanie”, pióra podchorążego inż. Antoniego Michałika, został przetłóżony na język niemiecki i wprowadzony do szkół szwajcarskich. Koszty kursów i wydawnictw finansowała YMCA (Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej), korzystająca ze środków przekazywanych przez Polonię amerykańską.

25 listopada 1940 r. odbyła się w Oberbergu uroczystość inauguracji Polskiego Obozu Licealnego, który po kilku miesiącach został przeniesiony do Wetzikonu w kantonie zuryskim. Dzięki ogromnemu wysiłkowi polskiego zespołu pedagogicznego, kierowanego przez dyrektora Liceum, dra Władysława Drobnego (z wojskowym stopniem kaprala) i życzliwości władz szwajcarskich, 88 internowanych uzyskało świadectwo ukończenia gimnazjum ogólnokształcącego (mala matura), a 185 świadectwo dojrzałości. To ostatnie zostało uznane przez władze szwajcarskie za równorzędne ze szwajcarską maturą i otwierało przed Polakami bramy szkół wyższych w Zurychu, Fryburgu i St. Gallen. W Polskim Obozie Licealnym, zorganizowanym na sposób wojskowy i objętym ograniczeniami, jakie dotyczyły internowanych, działała konspiracyjna szkoła podchorążych.

Najwyższy szczebel nauczania stanowiły polskie obozy uniwersyteckie. Ich działalność rozpoczęła się już 30 października 1940 r. i trwała do roku 1946. Powstały trzy obozy uniwersyteckie, związane z czterema uczelniami: obóz w Winterthur pod opieką Politechniki i Uniwersytetu w Zurychu, obóz w Grangeneuve pod patronatem Katolickiego Uniwersytetu we Fryburgu i obóz w Sirnach, a następnie w Herisau, związany z Wyższą Szkołą Handlową w St. Gallen.

W obozach uniwersyteckich, oprócz studentów, znalazła się elita intelektualna 2 DSP, w tym wielu przedwojennych pracowników polskich szkół wyższych. Z tego grona wyłoniono wykładowców niektórych przedmiotów, asystentów i lektorów. Włączyli się do nauczania także polscy uczeni przebywający w Szwajcarii jako uchodźcy cywilni: prof. dr Ludwik Eberman z Politechniki Lwowskiej i prof. dr Antoni Deryng z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Dużej pomocy w organizacji i działalności obozów uniwersyteckich udzielali, posiadający obywatelstwo szwajcarskie, profesoria polskiego pochodzenia: Edward Cros i Tadeusz Minkowski. Ponieważ internowanych nie dopuszczano początkowo do zajęć w murach uczelni szwajcarskich, polscy asystenci uczestniczyli w wykładach profesorów szwajcarskich i na podstawie notatek referowali wykład studentom. Przygotowano skrypty w języku polskim, a potem także w niemieckim.

Według ustaleń Władysława Drobnego przez obozy uniwersyteckie przewinęło się około siedmiuset internowanych żołnierzy. Zdobyli oni 456 dyplomów ukończenia studiów, 123 doktoraty i 2 habilitacje. „Wykaz byłych internowanych zatrudnionych na wyższych uczelniach PRL”, sporządzony przez tegoż autora, obejmuje 42 nazwiska.

Wśród polskich wojennych absolwentów i pracowników szkół wyższych neutralnej Szwajcarii byli i tacy, którzy później objęli katedry w tych uczelniach, jak starszy strzelec inż. Antoni Bukowiecki, późniejszy profesor Politechniki Związkowej w Zurychu, czy podchorąży 6 pułku strzelców pieszych Zygmunt Estreicher. Ten ostatni, rodowity fryburczyk, znalazł się w swym rodzinnym mieście jako internowany, a po wojnie został profesorem muzykologii na uniwersytetach w Lozannie i Genewie.

Bardzo bogate i zróżnicowane w formach było życie kulturalne polskich internowanych. Do najbardziej trwałych materialnie dokonań w dziedzinie kultury należała przebudowa i artystyczne wyposażenie poświęconej poległym żołnierzom 2 DSP kaplicy na cmentarzu w Solurze-Zuchwilu, usytuowanej obok pomnika Kościuszki. Urządzono też sale 2 DSP w Muzeum Polskim w Rapperswilu i opracowano projekt typowego trwałego nagrobka dla tych 179 żołnierzy 2 DSP, którzy w czasie wojny spoczęli na wielu cmentarzach szwajcarskich. W gmachach publicznych pozostały m.in.: fresk Kalitowicza w jednej z kaplic, fresk Tadeusza Fussa w sali posiedzeń związku zawodowego metalowców i zegarmistrzów w Solurze, czy fresk Stanisława Stryczyka w sali szkolnej w Madiswil, przedstawiający wzmarsz ochotników chłopskich do obozu Kościuszki. Pozostały też różnego rodzaju artystyczne pamiątki (rzeźby figuralne, tablice, kapliczki, ryngrafy), dokumentujące pracę i pobyt Polaków na ziemi helweckiej.

Bardzo ważną rolę w życiu wewnętrznym obozów i w kontaktach ze społeczeństwem szwajcarskim odegrały zespoły chóralne, teatralne (mężczyźni grali w nich także role kobiece) i estradowe. Ich występy przed publicznością szwajcarską, coraz częstsze od połowy 1943 r., spotykały się z reguły

z wysoką oceną widowni i prasy. Przyniosły też pewien dochód, który najczęściej przeznaczano na pomoc dzieciom polskim za pośrednictwem Czerwonego Krzyża.

Na szeroką skalę rozwinęła się akcja wydawnicza, obejmująca prasę obozową (legalną i nielegalną), druk podręczników i skryptów, prac naukowych, kalendarzyków żołnierskich, twórczości literackiej i plastycznej internowanych. M.in. dziełem internowanych i cywilnych uchodźców była obszerna, trytomowa publikacja, licząca ponad dwa tys. stron druku „Pologne 1919—1939”, wydana we Fryburgu w latach 1945—1947. Zainicjowana przez emigracyjne Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, była redagowana przez mieszkającego we Fryburgu, byłego posła RP w Bernie, dra Jana Modzelewskiego. W ten sposób powstała pierwsza synteza dorobku II Rzeczypospolitej, obejmująca życie polityczne i społeczne (tom I), stosunki gospodarcze (II) oraz życie intelektualne i artystyczne (III).

Po inwazji wojsk alianckich we Francji (czerwiec 1944 r.) Naczelne Dowództwo polskie na emigracji wydało rozkaz tajnej ewakuacji żołnierzy 2 DSP na teren Francji. Sprawnie zorganizowany przerzut umożliwił ewakuację, do końca 1944 r., 1663 żołnierzy, w tym 110 oficerów. Większość z nich przerwano potem do Anglii, gdzie stanowili trzon powstającej tam 4 Dywizji Grenadierów. Jednocześnie do Szwajcarii przybywali nowi uchodźcy, m.in. zbiegowie z obozów pracy i obozów jenieckich w Niemczech. W jesieni 1944 r. skończyło działalność Liceum Polskie w Wetzikonie. Rezultat wojny był już wtedy przesądzony, a jej zakończenie miało być tylko kwestią czasu. Przed Polakami w Szwajcarii z całą ostrością stało pytanie: co dalej?

# U PROGU SEZONU

U progu sezonu artystycznego 1988—1989 zwróciliśmy się do dyrektorów lubelskich teatrów oraz filharmonii z prośbą o udzielenie wywiadów na temat planów repertuarowych i problemów związanych z działalnością prowadzonych przez nich placówek. Oto one:

## O założeniach programowych i wojażach zagranicznych

Rozmowa z dyr. Państwowej Filharmonii im. H. Wieniawskiego, Adamem Natankiem

— Sezon artystyczny rozpoczęliśmy, tradycyjnie, Lubelskim Wrześniem Muzycznym. Szczególnym wydarzeniem stał się tegoroczny koncert inauguracyjny w Katedrze Lubelskiej: „Psalm Dawida”, „Stabat Mater”, „Pieśń Cherubinska” i „Te Deum” Krzysztofa Pendereckiego w wykonaniu Orkiestry i Chóru Filharmonii Krakowskiej pod batutą samego kompozytora, z udziałem solistów: Jadwigi Gadulanki (sopran), Grażyny Winogrodzkiej (alt), Henryka Grychnika (tenor) i Andrzeja Holskiego (baryton). W niespełna dwa tygodnie później gościliśmy w Lublinie Słowacką Orkiestrę Symfoniczną z Bratysławy; w połowie września orkiestra Filharmonii Lubelskiej i Chór Akademicki KUL z udziałem znanych solistów zaprezentowały w Kolegiacie Zamojskiej „Stabat Mater” Dwozaka. Potem był w siedzibie Filharmonii recital fortepianowy Kerina Kennera z USA; wieczór pieśni Claudio Akiré z RFN; występował Zespół Madryalistów „Capella Cracoviensis”. A tymczasem pan wraz ze swoją orkiestrą Filharmonii Lubelskiej dawał od 22 do 26 września koncerty w Szwecji...

— W drugim półroczu 1989 r. wyjedziemy także z koncertami do Szwajcarii i do Hiszpanii. No, ale to będzie już początek kolejnego sezonu artystycznego...

Tymczasem poza planami repertuarowymi mamy na głowie jubileusz czterdziestopięcioletnia istnienia naszej Filharmonii, pierwszej tego typu placówki artystycznej w Polsce po drugiej wojnie światowej. Odbędzie się on w grudniu tego roku.

## O repertuarze i jubileuszu

Rozmowa z dyr. Teatru Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena, Tomaszem Jaworskim

— W ubiegłym sezonie nie mogliście narzekać na brak osiągnięć. Na scenę weszły cztery nowe przedstawienia: „Opowieści Pana Leara” według Edwarda Leara w reżyserii Zbigniewa Glowackiego, „Opatrzności Boskiej dzieło” Urzuli Radziwiłłowej w reżyserii Tomasza Jaworskiego, „Rumcajs” Ernesta Brylla, którego reżyserował Wojciech Kozłowski, oraz „Pan Twardowski” Tadeusza Wierzbickiego w reżyserii samego autora. Ponadto teatr uczestniczył w I Biennale Teatrów Lalkowych w Nancy we Francji, gdzie odniósł spory sukces prezentując „Księża Portugali” Joachima Kneutha. Warto też wspomnieć o fakcie zarejestrowania przez telewizję sztuki „Opatrzności Boskiej dzieło”, a także o gościnnych występach na początku czerwca na tutejszej scenie amerykańskiego teatru Davida Marquiza z przeznaczoną dla widzów dorosłych — sztuką „Las kobiet”. A co nas czeka w obecnym sezonie artystycznym?

— Sezon 1988/1989 zapowiada się jeszcze atrakcyjnie. Zaplanowany on został jako sezon jubileuszowy, bowiem mija właśnie trzydzieści pięć lat od chwili powstania naszego teatru. Przede wszystkim mamy trzy nowe premiery: w listopadzie — „Don Zan” smonima czeskiego w mojej reżyserii, scenografii Ireneusza Salwy i z muzyką Leszka Zuchowskiego; następnie — „Ural Batory” Gazima Szafikowa w reżyserii Włodzimierza Felenczaka (scenografia — Tadeusz Holówko.

Co zaś do rozpoczętego już sezonu artystycznego, to w moim odczuciu zapowiada się on bardzo interesująco. Program jest obszerny, więc powiem tylko o niektórych jego pozycjach.

Poza stałymi koncertami symfonicznymi, kameralnymi oraz koncertami edukacyjnymi dla młodzieży, poza — zakończonym już — Lubelskim Wrześniem Muzycznym, odbędzie się, jak co roku, kolejne, majowe Nałęczowskie Dni Kultury, oraz cykl koncertów z cyklu „Solisci i kameraliści lubelscy”.

W naszych planach repertuarowych mocno znaczą się obchody 70 rocznicy odzyskania niepodległości, które wiąże się z osobą oraz twórczością Ignacego Jana Paderewskiego. W bieżącym sezonie przypada także, sięgając na grunt czysto lubelski, jubileusz sześćdziesięciolecia Towarzystwa Śpiewaczego „ECHO”.

Będziemy obchodzili sto siedemdziesiątą rocznicę urodzin Stanisława Moniuszki, dwieście trzydziestą rocznicę śmierci Haendla, sto osiemdziesiątą rocznicę urodzin Haydna...

Poza wspomnianym już koncertem monograficznym Krzysztofa Pendereckiego do wydarzeń artystycznych sezonu 1988—1989 zaliczyć będzie można koncert przy współudziale Ambasady Hiszpańskiej z wykonawcami z Madrytu (Trio Mom-pou), który odbędzie się w dniach 14 i 15 października. Godne polecenia są koncerty oratoryjne i operowe, m.in.: Wielka Msza c-moll W. A. Mozarta w wykonaniu Chóru z Kolonii (RFN) z udziałem zachodniemieckich solistów oraz dyrygenta — Hansa Gobhardta, a także: koncert poświęcony sylwetce Paderewskiego; operomontaż z udziałem solistów Teatru Wielkiego w Warszawie („Tosca” Verdiego); pierwsze wykonanie w Lublinie „Stabat Mater” J. Seidlera z orkiestrą PFL, Chórem KUL — przygotowanym przez K. Górskiego, pod moją dyrekcją... I szereg jeszcze innych koncertów. Przewidujemy występy licznych wybitnych polskich oraz zagranicznych muzyków-solistów.

muzyka — Mieczysław Mazurek) oraz — „Uciechy staropolskie”, rzecz opracowana przez Kazimierza Dejmkę. Tę sztukę będę reżyserował ja, scenografię przygotowuje Teresa Targońska, a muzykę do przedstawienia — Sławomir Czarniecki. Poza tym przewidujemy wznowienie najatrakcyjniejszych sztuk z ubiegłych sezonów: „Księża Portugali”, „Dziewczyna z ryżowych pól”, „Amor Divinus”. A także wznowienie niemal całego repertuaru sezonu 1987/1988.

Na początku czerwca 1989 r. chcemy zorganizować przegląd naszych przedstawień dziecięcych, a w końcu czerwca — przedstawień „staropolskich”. Będzie też dyskusja na temat miejsca repertuaru staropolskiego na scenie lalkowej, a także parateatralne akcje z udziałem dzieci.



„Rumcajs”.

Fot. Janusz Jurkowski



Dyryguje Krzysztof Penderecki.  
Fot. Janusz Jurkowski

— Program, w istocie, ogromny, a w naszej, ograniczonej czasowo i miejscowo na lamach „Kamienia”, rozmowie możliwy jedynie do fragmentarycznego zarysowania... Wróćmy może zatem jeszcze na chwilę do wyjazdów zagranicznych Filharmonii Lubelskiej, a przede wszystkim do niedawnego, wrześniowego, tournée po Szwecji...

— Wspominam ten wyjazd z dużą satysfakcją. Występowaliśmy wraz z solistą Edwardem Zienkowskim (skrzypce), zresztą lublinianinem z urodzenia. W programie mieliśmy Moniuszki Uwerturę koncertową — „Halka”, Koncert skrzypcowy — d-moll Wieniawskiego oraz IV Symfonię A-dur „Wiosną” — Mendelssohna...

— A jeśli chodzi o pańskie indywidualne zagraniczne wojaże artystyczne?

— Wkrótce, 20 października, wyjeżdżam do Wiesbaden w RFN, gdzie będę gościnnie dyrygował tamtejszą orkiestrą. Poza tym czekają mnie wyjazdy w podobnym celu do Bułgarii, Czechosłowacji, Hiszpanii. Do tego ostatniego kraju jedzę zresztą dość często: jako pierwszy stały gościnny dyrygent orkiestry w Valladolid. Potem czeka mnie wyjazd do Ankarę. A w sierpniu 1989 r. do San Francisco, gdzie także będę dyrygował.

Jak już wcześniej wspomniałem, wraz z moją orkiestrą PFL wyruszamy w przyszłym roku na tournée po Szwajcarii a stamtąd jedziemy prosto do Hiszpanii, na festiwal muzyczny w Alicante.

— O „sezon wyjazdowy” rysuje się dla pana jako niezwykle pracowity?

— Tak. Bardzo pracowity. Ale, powiem panu, że dla artysty jest to właściwie konieczne. Jako stymulacja i motywacja do pracy twórczej.

— Zespół artystyczny pozostaje w tym samym składzie?

— Właściwie tak. Jedynie na stanowisku reżysera Tadeusza Wierzbickiego zastąpi, znany już w Lublinie jako poprzedni kierownik artystyczny tej sceny, Włodzimierz Felenczak. Poza tym działamy nadal w naszym dotychczasowym osiemnastoosobowym składzie.

— Kiedy odbędą się uroczystości jubileuszowe?

— W czerwcu 1989 r. Właściwie to będziemy obchodzili równocześnie dwa jubileusze: trzydziestopięcioletnie powstania oraz trzydziestolecie upamiętnienia Teatru Lalki i Aktora.

— Czy w obecnym sezonie wybieracie się za granicę?

— Prawdopodobnie wyjedziemy do Brześcia lub do Leningradu. Być może czeka nas także wizyta któregoś z tamtejszych teatrów. Ale na razie rozmowa na ten temat dopiero się toczy.

— W rozmowie z dyrektorem Chmielarczykiem mówimy o „bezdolności” Teatru Muzycznego. Pan przynajmniej nie może narzekać na sprawy lokalowe... Teatr Lalki i Aktora posiada naprawdę piękną siedzibę!

— Ale ta siedziba wcale nie jest naszą własnością! Mieścimy się w budynku należącym do klasztoru OO. Dominikanów i wkrótce wygasa termin umowy na użytkowanie przez nas mieszczącej się na pierwszym piętrze dawniej „Sali Sokoła”. Nawiasem mówiąc, zarówno Teatr Muzyczny, jak i nasz teatr, pozostają wciąż w sytuacji „tymczasowej” od chwili ich powstania. Jedynie Teatr im. Osterwy ma własną siedzibę! Kiedy wreszcie ta sytuacja ulegnie zmianie?!



# O pracy zespołu w warunkach bezdomności

Rozmowa z dyr. Teatru Muzycznego Andrzejem Chmielarczykiem

— Od półtora roku można by określić prowadzoną przez pana pięcioletnią misją „teatru bezdomnego”. A stało się to za sprawą generalnej przebudowy Domu Oficera w Lublinie, gdzie od lat stale występowałyście. Jednak Teatr Muzyczny nadal działa i cieszy widzów, choć, niestety, są to raczej widzowie pozalubelscy...

— Ma pan rację. W okresie tej „bezdomności” przygotowaliśmy pięć premier, a w takich warunkach nie była to sprawa łatwa, z którymi objechaliśmy właściwie całą Polskę grając od Zielonej Góry poprzez Gdańsk, Białystok, Przemysł, aż po Śląsk... Nie wspominałem już o stałym, od lat przez nas prowadzonym, objeździe po Polsce centralnej. Właściwie to jesteśmy ciągle w drodze i może pan sobie wyobrazić, jaki to wysiłek dla zespołu...

— Chcąc nie chcąc, musieliście nawrócić do starych tradycji teatru wędrującego z występami od miasta do miasta?

— Właśnie. A my przecież jesteśmy teatrem lubelskim, powołanym do życia z myślą przede wszystkim o tutejszej publiczności, legitymującym się już ponad czterdziestoletnią tradycją. I tylko z powodu warunków lokalowych musieliśmy odłożyć jubileusz czterdziestolecia o całe dwa lata, na marzec 1989 r.

— To znaczy, że skończą się wreszcie wasze kłopoty lokalowe?

— Skończą się o tyle, że właśnie dobiega końca generalny remont lubelskiego Domu Kultury Kolejarza, który na jakiś czas stanie się naszą stałą siedzibą. Najprawdopodobniej już w grudniu damy tam pierwsze przedstawienie.

# O kontynuowaniu wytyczonego kursu

Rozmowa z dyr. Teatru im. J. Osterwy, Andrzejem Rozhinem

— Uważa się, że od czasu objęcia przez pana dyrekcji Teatru im. Osterwy stała się rzecz, jak na polskie warunki, niezwykła: teatr ma stale zapelnioną widownię! Ludzie znowu nauczyli się chodzić do teatru. Składa się na to i ciekawy repertuar, i poziom artystyczny prezentowanych przez lubelski zespół przedstawień, i działalność impresaryjna. Myślę tutaj o Lubelskiej Wiosnie Teatralnej, o przedstawieniach prezentowanych w ramach Teatru Rzeczypospolitej, o występach Sceny Prezentacyjnej z Warszawy...

Dzięki temu lubelski widz mógł bez większych trudności zobaczyć szereg najciekawszych przedstawień z całej Polski nie wyjeżdżając z Lublina. I nawet — będąc często w lepszej sytuacji od widzów z Warszawy, Wrocławia, Krakowa, którym o wiele trudniej dostać biletu na przedstawienia własnych teatrów.

A jeszcze, w ramach imprez towarzyszących, widz lubelski mógł się zapoznać z działalnością lubelskich grup alternatywnych: podczas Lubelskiej Wiosny Teatralnej prezentowały się zespoły Provisorium, Scena Ruchu, Gardzienice, Grupa Chwilkowa, Scena 6. Nie wspominał już o nowym kontakcie z teatrami z Bułgarii, Węgier, Czechosłowacji, wznowieniu kontaktów z Teatrem w Jaszach w Rumunii...

Jak to się dzieje, że publiczność nagle zaczyna walczyć tłumnie do teatru?

— Może po prostu należy zapewnić jej stałe dobre, ambitny, atrakcyjny, także — zróżnicowany repertuar?

Istotnie, nie mamy kłopotów z widzami. Na przykład z zaplanowanych na cały 1988 r. 225 przedstawień już tylko od stycznia do końca czerwca — zagraliśmy ich 204. Ogromnym powodzeniem cieszyło się nadal „Białe małżeństwo” Rózewicza oraz „Betlejem polskie” Rydla, sztuki „przeniesione” jeszcze z poprzedniego sezonu; wielkim powodzeniem cieszył się „Mandat” Nikolaja Erdmana...

— W pańskiej reżyserii...

— „Mandat” zagraliśmy ponad pięćdziesiąt razy. Doskonale poszedł także „Gardrobiany” Romana Hanwooda w reżyserii i scenografii Tadeusza Kijańskiego... Dodajmy, że premiera „Gardrobianego” była okazją do aktorskiego benefisu Włodzimierza Wiszniewskiego, obchodzącego jubileusz 30-lecia pracy artystycznej. Obok jubilatki znaczącą kreację stworzył Henryk Sobiechart, a recenzenci wysoko ocenili oryginalną inscenizację Tadeusza Kijańskiego. Jeśli chodzi natomiast o „Mandat” to poza miejscową prasą pochlebne opinie o tym spektaklu wyrazili recenzenci „Argu-

Tutaj trzeba dodać, że po szeregu zmian adaptacyjnych warunki pracy naszego zespołu będą o wiele lepsze niż te, jakie mieliśmy przez dziesiątki lat w Domu Oficera, gdzie scena była płytka, a zaplecze ciasne. W Domu Kultury Kolejarza właśnie zaplecze sceniczne, a więc garderoby, pracownie teatralne, zostało poważnie rozbudowane. Powiększono także scenę; miejsce dla orkiestry; zmieniono całkowicie system oświetleniowy.

— A co obejrzymy na tej nowej scenie w nadchodzącym sezonie?

— Przede wszystkim dwie klasyczne operetki: „Madame Dubarry” Karola Millöckera, a dodam tu, że ta operetka od czasów powojennych nie miała ani jednej premiery na scenach polskich, oraz przebój Johanna Straussa — „Baron Cygański”.

Natomiast jeszcze w warunkach „bezdomności”, 31 października, damy na scenie Domu Kultury „Azoty” w Puławach premierę innej klasycznej operetki: „Paganiniego” Franciszka Lehara. Libretto sięga do jednego z młodzieńczych epizodów życia wielkiego skrzypka; historii jego miłości do siostry cesarza Napoleona. „Madame Dubarry” reżyserował Ryszard Zarewicz, „Barona Cygańskiego” — Jan Sycz, a „Paganiniego” — Andrzej Wiza.

Poza tym na głównej scenie Teatru Muzycznego wznowimy przedstawienie „Błękitnego zamku” według libretta Barbary Wachowicz i z muzyką Romana Czubałęgo. Nawiasem mówiąc jest to ostatnia sztuka wyreżyserowana przez nieżyjącą już Barbarę Kostrzewską... Ponadto wystawimy bajkę muzyczną dla dzieci: „Czarodziejski pierścień” z muzyką Lucjana Kaszyckiego i w reżyserii Zbigniewa Czeskiego.

— Wspomniał pan o przedstawieniach na głównej scenie Teatru Muzycznego...

— No tak, bo przecież od dwóch lat działa w sali Domu Kultury LSM przy ul. Wallenroda 4 a nasza Scena Kameralna. I właśnie na jej deskach pokazemy dwie muzyczne jednoaktówki Jakuba Offenbacha: „Kotkę przemienioną w kobietę” oraz „Salon pana Wzdeckiego”.

Serdecznie zapraszamy na te wszystkie przedstawienia.

mentów”, „Rzeczywistości”, „Słowa Powszechnego”. O obydwu przedstawieniach dobrze mówiło Polskie Radio...

— A co z rzeczy nowych zobaczymy w tym sezonie teatralnym?

— Sezon, w który wchodzimy, przypada na okres obchodów siedemdziesięciolecia odzyskania przez Polskę niepodległości. 25 września daliśmy „Gałązkę rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego. Sztukę wyreżyserował Roman Kordziński.

11 listopada odbędzie się premiera przygotowywanego przez nas właśnie widowiska „Sen o Niepodległej”, w mojej reżyserii. Scenariusz przedstawienia został oparty na dokumentach z tamtych czasów, wspomnieniach uczestników ówczesnych wydarzeń oraz na tekstach poetyckich. Wśród wspomnień znajdują się także fragmenty dziennika lubelniczki Jadwigi Orłowskiej-Machowej, prezentowanego ostatnio na łamach „Kamienia”.

— Co jeszcze?

— W bieżącym sezonie będę reżyserował dwie sztuki, które powinny się chyba spotkać z dużym zainteresowaniem ze strony publiczności: „Królówójców” Jerzego Łojka — rzecz o pomnieniu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego przed konfederatami barskimi. Przedstawienie to traktuję jako głos dyskusyjny na temat roli oraz postępowania i polityki naszego ostatniego króla. Drugie przedstawienie to sceniczna adaptacja słynnej książki Borysa Pasternaka „Doktor Żywego”. Natomiast Andrzej Zaorski wyreżyseruje gościnnie na dużej scenie farsę angielskiego autora M. Frayna „Czego nie widać”. W propozycjach mamy wystawienie sztuki Karola Huberta Rostworowskiego „Judasza z Kariothu”. A na Małej Scenie teatru — Alfreda Jarry „Ubu król” oraz „Markiza de Sade” — sztukę wybitnego, nieżyjącego już, japońskiego pisarza Yukio Mishima'y.

Nie zapomniamy o najmłodszych widzach: na dużej scenie zobaczą oni musical Jacka Cygana i Krzesimira Dębskiego — „Bunt komputerów”. No, i rozpoczynamy wkrótce Lubelską Jesień Teatralną. Później będziemy myśleli o Lubelskiej Wiosnie Teatralnej.

A między tym wszystkim — o wyjazdach teatru do Bułgarii, ZSRR i na Węgry, o wizytach tamtejszych teatrów w Lublinie. Ja zaś sam — o swoich kolejnych planach reżyserskich: w Warszawie, na Węgrzech i w Bułgarii.

Zresztą również z Bułgarii oraz z Węgier przyjadą do Lublina reżyserzy: Georgi Czerkielow z Bułgarii będzie pracował nad sztuką Ch. Bojczewa — „Szpital rejonowy”, a Laszlo Gal z Węgier — nad komedią polityczną, której autorem jest Gyulija Hay, a która nosi tytuł — „Kof”.

— Tylko... ty i te!

— Zanim wybuduje się w przyszłości teatr przy ul. Nowotki rozbudujemy nasz stary budynek. I — powiększamy nasz zespół artystyczny. Wystarczy?

Notował: Mirosław Derecki

## Po raz czwarty w Lublinie

# KONKURS MŁODYCH SKRZYPKÓW

Rozmowa z inicjatorem i przewodniczącym jury prof. Zenonem Brzewskim

— Jak ten czas leci! Jeszcze żywe są wspomnienia z trzeciego międzynarodowego konkursu, a teraz, po trzech latach, mamy czwarty. Czy to pan profesor wpadł na pomysł zorganizowania w Lublinie podobnej imprezy? I skąd te powroty do naszego miasta, przecież od lat młodzieńcy jest pan mocno związany z Warszawą?

— Kiedyś miałem w Lublinie przyjaciela, niezjącego już dyrektora szkoły, muzycznej i wybitnego pedagoga, Oskara Ruppla, za jego też pośrednictwem nawiązałem kontakt z Towarzystwem Muzycznym. Jeśli mówić o inicjatorach konkursu, to trzeba by wymienić trzech: Ruppla, Jacka Ossowskiego, dyrektora Towarzystwa i mnie. Trudno mi dokładnie odtworzyć, jak to było, nie wiem, czy to ma zresztą jakiś sens, bo wpaść na pomysł może ten pomysł zrealizować. W tym rzecz, że powstała myśl zorganizowania imprezy poświęconej muzyce Wieniawskiego wykonywanej przez młodzież. Oczywiście nikt nie myślał o imprezie podobnej do poznańskiej. Ta lubelska miałaby być przeznaczona wyłącznie dla młodzieży szkół I i II stopnia. Chodziło o pogłębienie znajomości utworów Henryka Wieniawskiego...

— Czy gra się go teraz więcej?

— Na pewno, choć właściwie nie mieliśmy na myśli nawet popularyzacji, dlatego szukałem właściwego słowa — pogłębienie, żeby to nie były typowo szkolne utwory, których po pewnym czasie ma się dosyć. Chodziło o wydobycie piękna tej muzyki. Co znaczy piękno, mieli właśnie pokazywać laureaci festiwalu.

— Czy z perspektywy lat mógłby pan ocenić stan polskiej szkoły skrzypcowej?

— To sprawa trudna i zawsze ten osąd będzie indywidualny, bo żeby oceniać niżej, czy wyżej, musiałoby to być w jakiś sposób wymierne.

— Ale przecież zdobywamy bardzo dużo nagród na różnego rodzaju konkursach?

— Tak, to jest pewna miara. Inną jest ta, że Polacy mają pozytywną opinię, wyjeżdżają za granicę i są angażowani w dobrych orkiestrach. Porównując stan obecnego dziesięciolecia do poprzednich, poziom nauczania jest o wiele wyższy, lecz to nie idzie linią prostą. Obserwujemy raczej jej falowanie.

— Czy wierzył pan w rozwój lubelskiego konkursu?

— Od samego początku. Zdawałem sobie sprawę z tego, że sam fakt, iż jest to miasto Wieniawskiego, będzie przyciągać ludzi. Poza tym formuła, skierowana do młodzieży, dająca jej szansę pokazania się i sprawdzenia. Tak, sprawdzenia, bo to jeszcze nie jest szansa zrobienia kariery zawodowej, aczkolwiek i to się zdarza. Tego typu konkursów było mało, lub odbywały się sporadycznie, a te, które istniały, miały zasięg bardzo ograniczony i nie mogły konkurować z zamiarem i rozmachem konkursu lubelskiego. Na przykład od ponad ćwierć wieku istnieje w Usti nad Orlicy w Czechosłowacji taki konkurs międzynarodowy w rozmaitych grupach wiekowych, np. od 12 do 14 lat, od 14 do 16 i tak dalej. Polacy rzadko w nim biorą czynny udział, ale w życiorysach niektórych uczestników lubelskiej imprezy pojawia się ta nazwa. Nie liczy się on jednak tak bardzo, jak konkurs lubelski. Ten ostatni jest niewątpliwie wielkim konkursem, o światowym już znaczeniu. Drugi to Folkestone im. Menuhina w Anglii, a trzeci w Pekinie, ale konkurs w Pekinie, ze względu na to, że dla Europejczyków i Amerykanów jest bardzo odległy, nie jest tak silnie obsadzony, jak dwa poprzednie, tym bardziej, że to konkurs młody.

— Istnieje przekonanie, że wymagany w Lublinie program jest zbyt trudny dla młodych skrzypków?

— Zanim zaproponowałem taki program, dobrze przyjrzałem się imprezom na całym świecie. Wliczam w nie także próby, które się nie udawały, jak w Paryżu czy w Glasgow. Program ten był tak skomponowany, żeby średnio uzdolnionym, lecz dobrze przygotowanym uczniom też zezwalał na zakwalifikowanie się do konkursu. I kto wie, czy tej właśnie „łżejszej” partii programu nie będzie miały w przyszłości usuał z regulaminu.

Dokończenie na str. 10

# Rozmowa z prof. Zenonem Brzewskim

Dokończenie ze str. 9

— A czy nie należałoby raczej jeszcze dodatkowo podzielić młodszą grupę?

— Myślę, że nie, bo jednak na każdym konkursie przy dwóch jednakowo grających wyżej ceniony jest ten młodszy, bez względu na to, czy jest to konkurs dla młodzieży czy dla dorosłych.

— Ponieważ trzy poprzednie to już konkursy historyczne, który z nich najbardziej utkwił panu w pamięci?

— Każdy pamiętam doskonale. Najbardziej znaną postacią jest, oczywiście, Wadim Repin, zdobywca I nagrody na II Konkursie.

— Czy można powiedzieć, że Repin zrobił karierę międzynarodową?

— Przemawia za tym wiele rzeczy. W ZSRR grał na otwarciu konkursu Czajkowskiego, jak również na koncercie galowym ostatniego zjazdu KPZR, skąd na cały świat szła zapowiedź, że wystąpi laureat I nagrody Konkursu im. H. Wieniawskiego i K. Lipińskiego w Lublinie. Koncertował w Japonii, Kanadzie, RFN, Anglii. Ostatnio na konkursie im. Tibora Vargi w Sion w Szwajcarii zajął pierwsze miejsce. To samo można powiedzieć o młodszym — Wengierowie. Obydwaj zostali zaproszeni przez ekskluzywną Julliard School do USA na pokaz gry skrzypcowej.

— Przechodząc do czwartego, czyli obecnego konkursu, czy nastąpiły jakieś zmiany w stosunku do poprzednich?

— Skład jury opiera się w zasadzie na tych samych członkach.

— Spotkałam się jednak z kilkoma nowymi nazwiskami...

— Z Chin zapraszaliśmy poprzedniego przewodniczącego prof. Zu-qiang Wu ale teraz przyjechał ktoś inny. Przypuszczam, że ponieważ profesor Wu jest rektorem tamtejszego konserwatorium, a mamy początek roku akademickiego, obowiązki mu na to nie pozwoliły.

— Zauważyłam tym razem większą liczbę jurorów polskich.

— To zupełny przypadek. Oczywiście najlepszym rozwiązaniem byłoby zapraszanie przedstawicieli każdego silnego ośrodka skrzypcowego. W zasadzie taki klucz się stosuje, istnieje jednak tendencja do ograniczania liczby jurorów. I tak w tym roku zamiast Stanisława Lewandowskiego z Katowic zaprosiliśmy prof. Slezera z Krakowa.

— A jak to rozkłada się na innych konkursach międzynarodowych?

— Muszę powiedzieć, że wypracowano taką niepisaną jak gdyby formułę, że jedną trzecią składu jury stanowią profesorowie z kraju, w którym odbywa się konkurs, jedną trzecią, mniej więcej, z krajów socjalistycznych, a jedną trzecią w zachodnich.

— Po raz pierwszy też pojawił się teraz w Lublinie skrzypkowiec z RFN?

— Stan wykształcenia muzycznego, zwłaszcza wykształcenia skrzypków, był w RFN bardzo niski. To się teraz zmienia na skutek działalności wykładowców zagranicznych, zwłaszcza polskich. Na przykład Wanda Wilkomirska prowadziła ostatnio kurs letni w Baden-Baden, razem ze znanym w Polsce wiolonczelistą, Michałem Flaksmanem. Jest wielu emigrantów z krajów socjalistycznych, a zwłaszcza ze Związku Radzieckiego, którzy weszli do szkolenia niemieckiego i w ciągu tych kilku ostatnich lat bardzo wysoko wynieśli jego poziom.

— Czym można wytłumaczyć mały udział w konkursach Włochów, którzy przecież mają takie tradycje w grze na skrzypkach?

— We Włoszech i wielu innych krajach zachodnich grę na skrzypkach zaczyna się znacznie później. U nas, w ZSRR czy w Chinach, zaczynamy pracę z dziećmi sześciu-, siedmioletnimi, natomiast tam zaczyna się od 12—14 lat. Ludzie ci osiągają wprawdzie sprawność zawodową, ale dopiero w wieku lat 25—26. Kiedy czternastolatek decyduje się, że zostanie muzykiem, nie musi mieć matury, tylko od razu idzie do szkoły wyższej i już tylko muzyce się poświęca. Jest oczywiście w stanie „dogaonić” swoich młodszych kolegów, ale te kilka lat bez wcześniejszej nauki zostawia swój ślad. Niemniej, wskutek obserwacji szkolnictwa muzycznego w krajach socjalistycznych i Włoch powoli przedstawiają się na wcześniejszą jego organizację.

— Czy liczył pan kiedyś, w ilu konkursach pan uczestniczył?

— Nie, nigdy, chociaż pisałem kiedyś sprawozdanie ze swojej działalności i wtedy doliczyłem się chyba 16, ale to było sprawozdanie z pięciu lat. Teraz jeżdżę dwa, trzy razy do roku.

— Czy mógłby pan powiedzieć, który z nich jest najbardziej oryginalny, najciekawszy i z jakich względów?

— Myślę, że przede wszystkim należy wziąć pod uwagę względy programowe i organizacyjne, bo jakieś inne mniej mnie dziwią. Co do programowych, ciekawym przykładem może być konkurs im. Fritza Kreislera w Grazu, gdzie każdy skrzypek wybierał sobie trzy utwory z sześciu działów takich jak: barok, muzyka salonowa, ludowa, improwizacja na temat, mogła być nawet jazzowa, czy też wielkie sola z repertuaru orkiestrowego. Istniała też pewna liczba utworów, które każdy musiał wykonać. Ciekawe, że muzyki ludowej nikt nie tknął, tak samo było z improwizacją. A w każdym z tych działów można było zdobyć pierwsze miejsce i dopiero wtedy sumowało się punkty za dwa programy i typowano pierwszą nagrodę.

Inny przykład — ostatni konkurs Spohra we Freiburgu, gdzie ułożono program tak, że nie było tradycyjnego Bacha, Mozarta, natomiast sonaty romantyczne Schuberta i Schumanna, których się na konkursach nie słyszy. Coraz częściej organizatorzy

tak układają programy, aby różniły się one w sposób znaczący od programów innych konkursów.

Chciałbym przejść teraz do spraw organizacyjnych. Na wielu konkursach ocena uczestników jest punktowana, do 25 punktów. Wylom uczynił konkurs lubelski, który posługuje się oceną: tak lub nie, a dopiero przy rozdziale nagród jest głosowanie na nazwisko kandydata. Przekonałem się, że jest to sprawiedliwsze od systemu punktowego, bo jeden juror oznacza jeden głos. Jeśli się dysponuje określoną liczbą punktów, to odbywa się coś w rodzaju pokera. Ja daję 12, a inny 25. Ale spotkałem się także z jeszcze innymi sposobami oceny: w Folkestone, na zakończenie etapu, każdy juror układa własną listę kolejności miejsc, później oblicza się średnią i jest to wypadkowa lista decydująca o przejściu do następnego etapu.

— Istnieje jednak powszechna opinia, że żaden z tych sposobów oceny nie jest idealny.

— W jury zasiada bardzo wiele osób. Każda z nich posiada własną miarę, doświadczenie, smak,



Prof. Zenon Brzewski w 1950 r. ukończył studia w klasie skrzypiec prof. Ireny Dubielkiej w PWSM w Warszawie. Kontynuował je w Bernie, Lucernie oraz Brukseli. Od 1953 pracuje jako profesor Akademii Muzycznej w Warszawie. Inicjator i twórca Międzynarodowych Kursów Muzycznych w Łańcucie.

tradycję, w jakiej się wychowała, jaką przekazuje, czyli prezentuje sąd subiektywny. W jaki sposób mierzyć obiektywny? Maszyną? Po drugiej stronie stoi publiczność zwracająca uwagę na tę stronę wykonania, którą Niemcy nazywają „Austrahlung”, my byśmy powiedzieli siłą promieniowania, wyraz. Bardzo często ten silny wyraz określa się — „ciarki chodzą po plecach”. Wtedy muzyk gra. Jak ciarki nie chodzą, to nie gra! No, oczywiście, najlepiej byłoby, gdyby chodziły, ale wyobraźmy sobie taką sytuację, że jest pięciu muzyków w finale i jak każdy z nich gra, to... ciarki chodzą. Jurorzy mają obowiązek ustalić kolejność laureatów, a publiczność nie. I czym się oni kierują? Dodatkowymi elementami, które są dla publiczności niedostępne, jak np. czymś, co jest najłatwiej zrozumieć — tekst. Im bliżej jesteśmy tekstu, tym bliżej myśli kompozytora. Tu można by przytoczyć wiele przykładów, że odejście od tekstu bardzo się podobało publiczności, a nie bardzo jurorom. Na przykład w czasie konkursu Wieniawskiego dziennikarze sprawili burzę, że taki znakomity skrzypek amerykański, jak Fodor, nie wszedł do finału. Akurat byłem na tym konkursie. Nie mógł wejść. Przyjechał po wielkim sukcesie. Zdobył pierwsze miejsce na konkursie Paganiniego w Genewie i to, co umiał, przeniósł z tamtego konkursu, np. Balladę Ysaya grał fenomenalnie. A później grał utwory Szymanowskiego bardzo źle, inne nuty, nie ten nastrój, widać było, że się nie przygotował, jakby chcąc zaliczyć za jednym zamachem obydwaj konkursy.

— Skoro już mówimy o wielu rzeczach, które pana dziwią bądź fascynują, gdzie się pan najlepiej czuje, jeśli chodzi o miejsce pobytu?

— Do takich należy Folkestone w Anglii. Budynek, w którym się konkurs odbywa, leży tuż nad morzem i obserwacja morza stanowi dla jurorów dodatkową atrakcję.

— Mówi się, że inspiracją dla Folkestone stał się konkurs lubelski. Dlaczego nie możemy dojechać się przybycia Menuhina jako jurora?

— Wątpię czy kiedykolwiek przyjedzie. On jest tak zajęty i w tym wieku, że nawet w Folkestone pojawia się tylko na otwarciu i zakończeniu, choć jest to konkurs jego imienia. Pod jego patronatem odbywa się także konkurs im. F. Kreislera, ale również i tam jest tylko na koncercie laureatów.

— Powróćmy do innych ulubionych miejsc...

— Barcelona, ze swoją architekturą i położeniem nad morzem... Ale chyba najbardziej jestem zafascynowany organizacją konkursu w Pekinie. Tam nie było żadnego słabego punktu.

— Czy mamy szansę na sprawienie, by tak samo dobrze, jak w Pekinie — czuł się pan kiedyś w Lublinie?

# Wprost

## Z dobrą nowiną

Janusz Michalak

**P**IEKNY sierpniowy ranek. Na obszernej parking jedno z stadionów w Poznaniu podjeżdżają setki samochodów. Wsiadają z nich całe rodziny, z poprzypinanymi do ubrań plaketkami, jak podczas naukowych kongresów, i z uśmiechem, uroczyście udają się na trybuny. Plakietki informują każdego, że są to świadkowie Jehowy, członkowie jednego spośród około czterdziestu wyznań w Polsce, które jest nadal nie zarejestrowane.

Przez trzy dni będą jednak swobodnie się modlić, uczyć i zawzięcie notować głoszone wykłady. Będą małymi grupkami, oczywiście z nadal poprzypinanymi plaketkami informującymi każdego, jakiego są wyznania, spacerować po mieście, kupować lody, zwiedzać zabytki, odwiedzać znajomych. Słowem, będą zachowywać się całkowicie swobodnie. A jeszcze parę lat temu, aby urządzić podobne zgromadzenia, które są ich świętami, musieli ukrywać się w lasach.

— Nasza sytuacja wyraźnie ostatnio zmienia się na lepsze — twierdzi brat Harald z Tarczyna, jedna z głównych postaci ruchu — chociaż nadal więzi się nasze siostry i braci za wiarę. Nastal już chyba czas, aby to zmienić.

Główny wymóg wyznawców tej powstałej dopiero niewiele ponad 100 lat temu religii zainicjowanej w miejscowości Allegheny w USA przez Charlesa Russela, polegający na ścisłym stosowaniu się w każdej sytuacji życiowej do poleceń Biblii (jej autorem jest ich zdaniem sam Bóg), na wzorowaniu się na życiu pierwszych chrześcijan, stawiał ich zawsze w licznych sytuacjach konfliktowych. Stąd zyciorysy, zwłaszcza starszych wiekiem świadków Jehowy, naznaczone są represjami. Kapłolicy powiedzieliby na pewno o świadkach Jehowy gdyby zdobyli się na tolerancję:

### męczennicy wiary.

Brat Harald, dzisiaj członek ściślego kierownictwa polskiego oddziału świadków Jehowy, jest żywą historią tego wyznania. Wychowany w religii ojca, protestanta, zetknął się z Prawdą — jak mówi — przypadkiem, jeszcze przed wojną jako student Politechniki Gdańskiej. Po pewnym czasie dla nowych zasad wyrzekł się swego wówczas gorącego patriotyzmu, odmówił wstąpienia do wojska. Wkrótce wybuchła wojna. Jako Ślązakowi Niemcy zaproponowali jemu i żonie, która również przyjęła nowe wyznanie, podpisanie Volkslisty. Obiecali, że będą tolerować ich wyznanie, byleby tylko nie głosili, że całą nadzieję pokładają w królestwie Bożym, a nie w ziemskim rządzie. Kiedy zdecydowanie odmówili podpisania Volkslisty, a brat Harald odmówił służby w Wehrmachcie, wysłano go „aby zmadrzal”, do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen-Oranienburg.

— W obozie utworzony został specjalny oddział — opowiada dalej — w którym przebywali świadkowie Jehowy (aby nie mogli głosić swojej „propagandy”, mówiono), tak zwany element społeczny i homoseksualści. W ciągu pierwszego roku pobytu w obozie zginęło 130 spośród 400 przebywających tam świadków Jehowy. A wystarczał tylko jeden podpis — wspomina brat Harald — pod oświadczeniem, że wyrzekamy się swojej wiary i zobowiązujemy się wydać znanych nam współwyznawców... I byli tacy, którzy ulegając naciskom ze strony rodzin, podpisywali. Niektórzy jednak znowu podejmowali działalność wyznaniową, gdy dostrzegli swój błąd. Wrócili wówczas do obozu. Bardzo się wtedy cieszyliśmy, że nasi bracia potrafili przelać swą słabość.

— Po wojnie brat Harald odszukał swą żonę, która również przez trzy lata więziona była „za wiarę” w Oświęcimiu. Wrócili do Łodzi, gdzie odnalazli kilkuletnią córeczkę, która przez ten czas znajdowała się pod opieką współwyznawców (teściowa, fanatyczna protestantka, nie przyjęła dziecka).

— Mielśmy 5 lat spokoju — wspomina brat Harald. — W 1950 roku nasza działalność została oficjalnie zakazana, a członków zarządu krajowego aresztowano. W wyniku procesu wytoczonego nam przed sądem wojskowym ówczesny służba kraju brat Wilhelm Szajder skazany został na dożywocie, a ja oraz pozostali bracia otrzyaliśmy wyrok 15 lat więzienia. Represje jednak odniosły ten skutek, że jeżeli w 1950 roku było w Polsce około 18 tys. wyznawców, to w 6 lat później, kiedy nas uwolniono, okazało się, że jest nas już ponad 30 tysięcy.

Po zwolnieniu z więzień, w 1956 roku, rozpoczęli od razu starania o uwolnienie ich od zarzutu zdrady stanu, prowadzenia działalności szpiegowskiej i dążenia do obalenia przemocą (!) ustroju. W wyniku tych starań zostali zrehabilitowani w 1963 roku.

— Jednak jeszcze w tym samym roku zostałem ponownie aresztowany i skazany za prowadzenie działalności nielegalnej na 2,5 roku więzienia — mówi brat Harald. — Potem, w 1971 roku, znowu za to samo znalazłem się w więzieniu we Wronkach. Znali mnie już tam strażnicy i pytali nawet, co mogą dla mnie zrobić. Odpowiedziałem, że jedno — zamknąć w celi z możliwie spokojnymi więźniami. Innych pragnieć nie miałem.

Kilkakrotnie więziona była też jego żona. Dziś, z perspektywy pięćdziesięciu lat małżeństwa, wspominają, że w sumie „za wiarę” 21 lat spędzili w obozach i różnych więzieniach.

Równie drastyczne były przeżycia brata Henryka, starszego zboru w Poznaniu.

— Tego dnia nie zapomnę nigdy — opowiada. — 13 czerwca 1946 roku razem z ojcem, od niedawna świadkiem Jehowy, udaliśmy się do pewnej rodziny, która ojciec nie opiekował. To było straszne — napadła na nich jakaś grupa ludzi. Polamane ręce, nogi, zębra, ściany mieszkania zbryzgane krwią. Wróciliśmy do domu ze świadomością, że teraz kolej na nas. Kiedy błagałem ojca, żeby uciekał, odmówił. „Jestem gotów ponieść konsekwencje mojej wiary” — powiedział i czekaliśmy. Niedługo przyszli. Zaczeli sztydzić — „my ciebie zaraz wyświęcimy na biskupa”.

„Przestaniez czytać Biblię”. I bili, bili, bili na oczach całej rodziny. Po ich odejściu nie minęło 15 minut, jak ojciec, dotychczas zdrowy 45-letni mężczyzna, zmarł. Miałem wówczas 17 lat i też zostałem pobity. Zgłosiliśmy to oczywiście władzom, ale jakoś nie bardzo je to zainteresowało. Później miejscowy ksiądz kazal na drzwiach wszystkich katolickich domów rozlepić kartki z napisem „wstęp nauczającym świadkom Jehowy wzbroniony”. W takich warunkach kształtowało się moje poznanie Prawdy. Potem był okres tzw. błędów i wypażeń — wspomina dalej brat Henryk — a z nim użalenie nas za „szpiegów amerykańskiego imperializmu”. Dla mnie oznaczało to 8 miesięcy przesłuchań w kazamatkach urzędu bezpieczeństwa... Jestem już od czterdziestu lat świadkiem Jehowy, z czego 8 lat spędziłem w więzieniach. Ale nie mam żalu. Nie chciałbym, żeby wspomnianie przeszłości pogorszyło coraz lepiej układające się od pewnego czasu stosunki z władzami — mówi brat Henryk.

Historie braci Harald i Henryka są może bardziej drastyczne niż inne. We wszystkich jednak życiorysach wyznawców świadków Jehowy są więzienia (jedyna grupa społeczna, której więzienie nie demoralizuje) i prześladowanie w miejscu pracy lub zamieszkania (wymienianie się z dziećmi „kocia wiara”). Historia świadków Jehowy w Polsce jest najlepszym świadectwem jak

**falszywe są hasła**

**o rzekomej polskiej tolerancji.**

Nie też dziwnego, że mając takie a nie inne doświadczenia, świadkowie do dzisiaj działają prawie w konspiracji. Są głęboko nieufni wobec ludzi z zewnątrz. Nie podają adresu centrali, nie chcą nawet na życzenie władz zobowiązać się do podawania składu zarządów „wszystkich zborów w Polsce ani dokładnej liczby wyznawców. Wiadomo tylko, że w ubiegłym roku podczas jedynego z odbytych zebrań uczestniczyło w nich razem z sympatykami, około 130 tysięcy ludzi. W Polsce stanowią więc trzecią lub czwartą pod względem liczby członków grupę wyznaniową (po katolikach, prawosławnych, protestantach, razem z wyznawcami Kościoła ewangelicko-augsburskiego). W ostatnich latach — jak twierdzą — ich liczba szybko rośnie. Przystępuje do nich głównie młodzież — jak to określają — rozczarowana do katolicyzmu.

W życiu codziennym są rześni, kulturalni, spokojni. Duże znaczenie w ich życiu odgrywa praca. Kulturywa życie rodzinne i podejmują akcje przeciwko takim plągom społecznym, jak alkoholizm, palenie tytoniu czy rozwody. Słowem — ich zasady są z punktu widzenia interesu społecznego bardzo pozytywne. Mają jednak również cechy, które wzbudzają w stosunku do nich społeczną niechęć.

Niejaka irytację wzbudza u niektórych na przykład ich karności. Są bowiem zobowiązani nie tylko do święcenia własnym pozytywnym przykładem, ale też do głoszenia Prawdy chodząc po domach.

— Muszę to robić, poczuwam się do prostu do takiego obowiązku — wyjaśnia mi brat Zbigniew, młody inżynier z Bydgoszczy. — Gdybym tego nie robił, byłbym winien twojej krwi. W Biblii powiedziane jest bowiem, że jeszcze za życia pokolenia, które pamięta rok 1914 (tak to odczytujemy), a więc obecnego, nastąpi tzw. koniec ludzkości. Jeżeli ja to wiem, to muszę powiedzieć to także innym, żeby też mieli szansę ocalić siebie przed nadchodzącą zagładą. Dlatego właśnie pukamy do wszystkich drzwi i mówimy ludziom — koniec już bliski, popatrzcie na swoje życie, zagładnijcie do Biblii, macie jeszcze czas się znieść.

W tak bezpośredni sposób prowadzona działalność przynosi konkretne rezultaty. Jak twierdzą, coraz więcej ludzi podejmuje z nimi dyskusje, a jeżeli niektórzy odmawiają, to czynią to w sposób kulturalny. Rzadko już przed nimi zatrząskują się drzwiami, nie słysząc wyzwisk.

Mimo że dążenie do kariery jest sprzeczne z zasadami ich wyznania („mamy przede wszystkim

zadbać o odzienie, dach nad głową, i aby nasi domownicy mieli co jeść”), mają w swym gronie znanych muzyków, lekarzy, członków NASA, a także byłego złodzieja diamentów i byłego członka mafii sycylijskiej. W Polsce rezultaty działalności kaznodziejskiej świadków Jehowy są — z wymienionych już względów — bardziej utajone, ale wiadomo na przykład, że znalazł się wśród nich pułkownik Wojska Polskiego na krótko przed emeryturą, naukowiec-marksista, są lekarze, profesorowie. Działalność kaznodziejska nie jest więc bezowocna.

Dużym problemem wywołującym społeczną niechęć w stosunku do świadków Jehowy, jest na pewno niedopuszczanie przez nich do transfuzji krwi, którą nazywają „krwiopijstwem”.

Wiosną 1988 roku, szpital miejski w B. Do szpitala pogotowie przywozi piętnastoletnią Basię, która uległa wypadkowi samochodowemu. Zginęła w nim jej matka i siostra (ojciec zmarł kilka lat wcześniej). Jedną z nóg Basi jest zmiądzona poniżej kolana, konieczne jest przeprowadzenie operacji, podczas której jednak trzeba będzie również przetoczyć chorej krew. Naprędcie ustanowieni przez sąd opiekunowie Basi składają pisemne oświadczenie, że ze względu na swą wiarę (świadkowie Jehowy) i taką samą wiarę wyznawaną przez nieżyjącą już matkę i siostrę, jak również przez niepełnoletnią Basię, nie wyrażają zgody na transfuzję („Jeżeli kto z domu Izraela albo spośród przybyszów, którzy osiedlili się między nimi, będzie spożywał jakakolwiek krew, zwróć swoje oblicze przeciwko temu człowiekowi i spożywającemu krew i wyłącz go spośród jego ludu” — Jehowa w Księdze Kapłańskiej). Proponują jednak ordynatorowi oddziału ortopedycznego zastosowanie preparatu krwiozastępczego o nazwie „Hemecel”, który zobowiązują się sami dostarczyć. Ordynator nie zgadza się. Twierdzi, że po prostu nie ma doświadczenia w posługiwaniu się tym środkiem. A po zapoznaniu się z jego składem podtrzymuje swoją negatywną decyzję, gdyż — jak twierdzi — brak w nim nośników tlenu. Rozpoczynają się konsultacje lekarskie...

Konflikt wiary z potrzebami pacjenta. Jak go rozwiązać? Prof. Tadeusz Kielanowski w podręczniku „Etyka i deontologia lekarska” rozstrzyga go jednoznacznie: „[...] Jak ma postąpić chirurg, jeżeli w toku operacji okaże się, że jedynie przetoczenie krwi może uratować życie choremu? Bez wahania wówczas przetoczyłbym krew choremu znajdującemu się w śpieniu, mimo udzielenia mu obietnicy niedokonania tego, a personel uczestniczący w operacji zobowiązałbym do nieujawniania tego faktu”. Jednocześnie zastrzega się profesor: „[...] Uczyniłbym wszystko, aby dotrzymać przyrzeczenia nieprzetaczania krwi. Należy bowiem pamiętać o tym, że naszą troską jest staranie nie tylko o dobry stan fizyczny chorego, ale także o jego stan psychiczny”.

Na szczęście obecnie tego typu konflikty zdarzają się stosunkowo rzadko. W środowisku medycznym zwiędła też pogląd, że przetoczenie krwi jest naprawdę nieodzowne tylko w stanie skrajnego wykrwawienia, a woli pacjenta nie można lekceważyć.

Świadkowie Jehowy narażali się zawsze nie tylko Kościołowi katolickiemu, nie tylko społeczeństwu, ale i władzy. Przez sanj fakt, że uznawali się za wyznawców niepolitycznych. Swoim wyznawcom zakazy oddawania honorów sztandarom i flagom państwowym, potępiają więc patriotyzm. „Patriotyzm — jak pisał w 1917 roku jeden z ich przywódców, Rutheford — pochodzi po prostu od diabła”.

**Nie kwestionujemy żadnej władzy**

tłumaczy mi brat Stanisław z Otwocka, starszy tamtejszego zboru.

— Uznajemy, że każda władza jest lepsza od anarchii. Nie kwestionujemy określonego porządku społecznego i prawnego, ale tylko dopóty, dopóki nie znajdzie się on w konflikcie z prawem boskim, które odczytujemy z Biblii. W sytuacji konfliktowej zawsze damy pierwszeństwo woli bożej.

Praktyczną ilustracją tych przekonań jest w obecnych czasach przede wszystkim zdecydowanie negatywny stosunek świadków Jehowy do udziału w wojnach, pracy na potrzeby wojska, do obowiązku służby wojskowej.

— Nie jest to żaden nakaz płynący od naszego ciała kierowniczego — twierdzi brat Harald — ale osobista sprawa każdego wyznawcy. Każdy, kto został wyszkolony na Biblii, sam wie, jak powinien postąpić.

W praktyce wybór ten polega na tym, że prawie wszyscy świadkowie Jehowy wybierają więzienie. Nie chcą mieć z wojskiem nic wspólnego. Dlatego nowe przepisy o zastępczej służbie wojskowej też ich — jak mówią nieoficjalnie — nie satysfakcjonują. Domagają się od lat jednego: aby — jak to jest chociażby w krajach skandynawskich — wyłączone członków ich wyznania spod obowiązku służby wojskowej, odbywanej w jakiegokolwiek formie. Tylko tyle i aż tyle.

Poza tym byli i są nadal w pełni lojalnymi obywatelami.

— Od kilku lat wyraźnie zmienia się stosunek władz do naszego wyznania — mówi brat Harald. — Mimo że nasza sytuacja prawna nadal pozostaje nieuregulowana, władze od 1983 roku udzielają corocznie zgody na organizowanie naszych zgromadzeń, na sprowadzanie z zagranicy naszych pism „Strażnica” i „Przebudźcie się!”. Trwają też od pewnego czasu rozmowy w sprawie rejestracji. W 1988 roku poproszono nas o zaktualizowanie projektu statutu (który w Urzędzie ds. Wyznań leżał 13 lat). Teraz mamy realną nadzieję na prowadzenie, jak to jest w wielu innych krajach, normalnej działalności. Oby znowu nie okazała się ona płoną.

## DEBIUT

Grzegorz J. Pelica

### Szczęście

To było już dość dawno temu  
czytałem o rewolucji i myślałem:  
w fabrykach są przede wszystkim  
trybuny i sale wiecowe,  
czytałem Broniewskiego, myślałem  
o wieczorach autorskich  
barykadach pełnych wierszy  
i że robotnik to brzmi  
tak górnołotnie...

Byłem w fabryce, w kopalni  
i wiem, że robotnik to szczęście,  
które spotkało cały świat,  
żeby mógł być wojnym.

Tylko czasami świat nie wie,  
co z tym szczęściem zrobić,  
jak złodziej z rękami.

z niechlubnych snów  
też nas rozliczą  
rozgrzeszą  
z oczywiście  
i niestety  
z głębokich legend  
z wierszy płytkich  
jak zagrzebane w płewach  
gruszki

## Kajet literacki

### Życie i twórczość mojego teścia

JEGO życiorys postarała się przede wszystkim wojna. Rodziców z młodszymi dziećmi wywieziono na roboty do Reichu. Jechali z przesiadką na Majdanku, gdzie mieścił się jakiś punkt etapowy z odswalnią oraz innymi szykanami. Po nocy spędzonej w obozie koncentracyjnym pojechali dalej.

Najstarszy Rysiek został z ciotką w Baranowiczach, gdzie przeżył zapalenie opon mózgowych, po czym pozostał mu na zawsze niedowład jednej ręki. Rodziców odnalazł w Pile w roku 1947. Potem ożenił się z rozwódką z dwojgiem dzieci. W ten sposób ja ostatecznie miałem dwóch teściów, biologicznego — że tak powiem — i tego przyszywanego Ryska o złotym sercu ze sparaliżowaną ręką. Rysiek bardzo lubił czytać, kolekcjonował kryminały i własnoręcznie oprawiał je z introligatorską maestrią. Wiedział, oczywiście, że coś tam sobie skrobie i z góry, zaliczkowo, uważał mnie za pisarza. Z firmy znosił mi papier, używaną kalkę i taśmy nadające się jeszcze do wykorzystania.

Mało tego, sam zaczął pisać. Przede wszystkim zaufundował sobie starą maszynę sprzed pierwszej wojny światowej, prawdziwe dzieło sztuki technicznej. Po tyłu dziesięcioleciach żadnego na niej nawet zadrapania nie było.

Teść wpiery machnął żywiołową powieść o epoce napoleońskiej. Żołnierze cesarza walczyli jak komandosi przeszłoleni w Anglii Churchilla. Poradziłem mu, żeby zainteresował się współczesnością, więc w drodze kompromisu stworzył dzieło o drugiej wojnie. I ku nie tylko mojemu zdziwieniu okazało się, że wcale nie jest to skopczona chała. Teść na ogólnopolskim konkursie wprowadził nagrody nie zdobył, ale przewodniczący jury, sam prezes Iwaszkiewicz, przysłał list ze słowami zachęty.

Rok temu Rysiek zginął w wypadku drogowym. Po śmierci jego żona wszystkie maszynopisy wyrzuciła do zrypu. Nadszedł też akurat zwrot z jakiegoś wydawnictwa. Wdowa wybrała się na pocztę i powiedziała tej pani w okienku, że mogą sobie tę paczkę wyrzucić na śmietnik, bo ona jej odbierać nie zamierza.

Bardzo żałuję, że nie pomyślałem w porę o dorobku teścia, ale mieszkał on kilkaset kilometrów od Lublina, a korespondencyjnie trudno jest wszystkim załatwić.

Jakże to typowy los artysty — wpiery bagatelizacja, potem zapomnienie. A przecież Rysiek w jakimś tam procencie — choćby praktycznie niewystarczającym — był artystą. Zresztą ktoś wie naprawdę, jaki to ma być procent. Sztuka to nie spirytus.

„musz Olczak

## Korespondencja własna „Kamena” z Kanady

**M**ŁODY mężczyzna zagląda do dużego notatnika. Przegląda daty.  
— Oczywiście, panie profesorze. Notując: sobota, godzina dwudziesta trzydziści. Tak jest, mamy... Na pewno będzie pan zadowolony. Do widzenia, panie profesorze... — szybko zapisuje nazwisko.

Mało wytwornie spoglądam mu przez ramię i dostrzegam adnotację: „Zbig Brzeziński, 2 pers.”. Na pytające spojrzenie słyszę odpowiedź, że istotnie chodzi o profesora Zbigniewa Brzezińskiego, politologa i polityka. Zamówił właśnie stolik na dwie osoby. Ma zamiar zjeść kolację w tym lokalu.

Jakim? Gdzie? Restauracja nosi nazwę „Cracovie” i jest ulokowana w samym sercu Montrealu przy rue Stanley 1246 (telefon: 866-2195 — to na wszelki wypadek...). Jest jedną z pięciu polskich restauracji w największym mieście Kanady, wspaniałej metropolii budzącej uzasadnioną dumę jej mieszkańców. Można by pomyśleć, że pięć polskich lokali w dwumilionowym mieście to zupełnie przyzwoity wynik, jak na naszą grupę etniczną liczącą w Montrealu około dwudziestu pięciu tysięcy osób. Manager „Cracovie” Marek Benedyczak, który akurat przyjął zamówienie na stolik od Brzezińskiego, twierdzi jednak co innego.

— W Montrealu jest dokładnie (na koniec lipca br.) 4087 restauracji. Rocznie bankrutuje około 1,4 tysiąca i tyle samo powstaje. Widać z tego, że konkurencja jest bardzo silna i byle jaka knajpa nie ma szans utrzymania się. A teraz niech pan zgadnie kto bryluje na rynku gastronomicznym, poza samymi Quebeczycami? Chińczycy i Grecy! Nie pomyślę się, jeżeli powiem, że mają łącznie około półtora tysiąca lokali, przy czym Grecy nieco mniej, jakieś 600—700. Gdyby przyjąć kryteria proporcjonalne do liczebności populacji, powinniśmy, my, Polacy, mieć około stu lokali. No, ale nie mamy. Przyczyna wydaje się prosta: Polacy nie są narodem restauratorów i konsumentów; jadają w domach, a nie w lokalach.

Jeżeli przyjąć za prawdziwe te opinie, powstaje dość proste pytanie: dlaczego „Cracovie” utrzymuje się na powierzchni? I to już od dziesięciu lat...

Właścicielami lokalu są państwo Stanisław i Maria Ciesielkowie, rodowici Podhalanie. Początkowo prowadził restaurację do spółki z dwoma innymi rodakami z Polski, ale przed pięcioma laty usamodzielnili się, spłacili wspólników. Był to bardzo dobry ruch, który przyniósł same profity. Mniej jest problemów wymaga-

jących dyskusowania, budzących wątpliwości, czy nieporozumień.

„Cracovie” składa się z dwóch sal konsumpcyjnych, po około piętnaście stolików w każdej. W pierwszej znajduje się również tradycyjny amerykański bar, przy którym można sączyć

dzinki i rozprawiać nad wyższością „Black & Withe” nad — powiedzmy — „Johnie Walkerem”. Można też o prowadze „Wyborowej” nad „Polonezem”. Co jest podobnie jak w pierwszym przykładzie — wątpliwe. Ponadto na tylnej ścianie baru — pełny przegląd tendencji międzynarodowych: od wytwornych koniaków francuskich w rodzaju „Bisquit” czy „Martell”, po lekkie, białe wina kalifornijskie. Z białych wódek jest radziecka „Stolichnaya”, szwedzki „Absolut” (najmodniejsza wódka tego sezonu w Kanadzie i USA), fińska „Finlandia” i lwowsko-amerykański „Smirnoff”. Piwa... Tu pełna gama kanadyjskich z browarów Molsona, z rewelacyjnym „Bradorem” (prawie 6 proc. alkoholu) po „Budweissera”, „Pilsnera” „Heinekera”, „Amstela”, no i wareckie „Pulaski Beer”. Z delikatesów dodać wypada również eksportowe wydanie polskiej paschalnej sliwownicy („Passover Slivovitz”) z certyfikatem koczerności oraz podpisem rabina i izraelskiej „Sabry”, likieru kawowego lub pomarańczowego. Bar zwykle obsługuje szef restauracji lub, w weekendy, Marek Benedyczak.

Lokal wyposażony jest prosto, funkcjonalnie i wygodnie. Są oczywiście akcenty ludowe (wycinanki, rzeźby, grafiki), ale bez przesady i tej nachalnej tandety spotykanej w „karczmach słupskich”. Ktoś, kto tu przychodzi, wie, że jest w polskim lokalu, ale nie jest tym faktem przytłaczany i terroryzowany. Dlatego, na przykład, kelnerki nie noszą krakowskich spódnic, a kelnerzy rzeszowskich serdaków.

— Trzeba naszego gościa do siebie przyzwyczaić i przywiązać — mó-

wi Stanisław Ciesielka. — On może w każdej chwili pójść do konkurencji i tam spróbować. Trzeba mu więc od początku dać szansę wyboru dań zasadniczych, przystawek, deserów, a kiedy trzeba służyć wyjaśnieniem, lub po prostu przynieść danie z kuchni i

ralnie podstawę naszej egzystencji stanowią „lunchowcy”, to przynosi stały dochód. Są to pracownicy kołniczych biur i banków. Znany już ich przyzwyczajenia i zwykle kelnerzy nie muszą pytać, co podać, bo wiedzą dobrze. Także przy stałych bywalcach w zasadzie wiadomo, co będzie serwowane. Przy okazjach specjalnych zwykle trzeba przedyskutować menu wcześniej, żeby ewentualnie po-

## Trzydzieści tysięcy pierogów

Waldemar Piasecki

pekazać. To się zawsze opłaca. Mam dwa rodzaje konsumentów: pierwsi wpadają codziennie na lunch, a drudzy przychodzą na dłuższe dinnery, czy nawet małe przyjęcia w gronie kilku osób. Poza tym specjalną grupę stanowią goście przyjęć weselnych, jubileuszowych i okazjonalnych (w tym nawet dyplomatycznych). Natur-



starać się o jakieś bardziej wykwinne lub rzadkie surowce, ale takich „zaskoczeń” było może dwa—trzy przez dziesięć lat pracy.

W „Cracovie” zaczyna się od przekąsek. Z zimnych jest to szeroki wachlarz dań śledziowych, tatar, polskie wędliny. Największe powodzenie mierwa befszyk tatarski, który tam jest zupełnie nieznanym daniem. Surowego mięsa Kanadyjczycy nie biorą do ust i przelamanie oporów bywa niekiedy trudne. Kiedy to jednak nastąpi, wówczas pozostają już wierni tatarowi i często proszą nawet o przepis na jego przyrządzanie. Oprócz śledzi (bo, gactwo ich gatunków jest w Kanadzie ogromne) serwuje się także lososia, węgorza i pstrąga. Na gorąco zawsze można otrzymać flaczki i forszmak. Te pierwsze przyrządza się z licznymi ziołami, w tym majerankiem. Do zakąsek podaje się zwykle pieczywo żytnie, zwane tu chlebem litewskim.

Potem przychodzi pora zup. Od razu trzeba dodać, że danie to jest w Ameryce Północnej ewenementem, spóżywanym z rzadką i nieco nieufnie. Znajomy montrealczyk, zartując, mówił mi, że Kanadyjczycy (zwłaszcza anglojęzyczni) nie bardzo wiedzą, do czego służy łyżka. Są po prostu zapytani lawiną frytek, hamburgerów, hot dogów i panierowanych kurczaków przypominających kształtem porcji wszystko, tylko nie udko czy skrzydełko. Zupa w „Cracovie” jest więc poniekąd cennym doświadczeniem po znawczym. W czasie lipcowo-sierpniowych upałów (nie notowano takich od... 1872 roku) na stołach polskiej restauracji królował chłodnik, zwany zimnym barszczem (cold borsch). Je-

## Grałam w „pornolaku”

**Z**AWIEZLI mnie na małą uliczkę niedaleko stacji metra — Camden Town. Takich uliczek jest w Londynie tysiące. Ani ty, ani nikt inny nie odnajdzie jej więc tak łatwo. Pełno tam starych domów, wąskich podwórek, zwykłych miejskich zakamarków. Ten facet, Peter, znał to miejsce dobrze. Weszliśmy do ciemnej klatki schodowej. Brudno tam było i nieprzyjemnie i zaczęłam się wtedy zastanawiać, czy to ma sens. Ale już od miesiąca nie miałam pracy, a Grek, u którego mieszkałam, powiedział, że wyrzuci mnie z mieszkania. Może łatwo będzie komuś mnie pościć, ale niewielu ludzi znalazło się tak samotnych w obcym świecie, bez grosza przy duszy i bez życzliwego wsparcia. Teraz ciężko w Anglii o pracę. Oni tam dostali prawdziwego „fiola” na punkcie imigracji. Nawet ci, co kiedyś przyjeżdżali na te sprawy oko, dzisiaj boją się zatrudniać „na lewo”. Kary sięgają paru tysięcy funtów i można stracić koncesję. To, co zarobiłam na początku w tej włoskiej knajpce, wydałam na mieszkanie. Kupiłam też parę ciuchów, żeby mieć lepszy start w poszukiwaniu pracy. Wtedy pojawił się ten Peter ze swoimi „zdjęciami”. Byłam w takim dolku, że

postałowiłam spróbować. Nie jestem dziwką, choć niektórzy mówią, że jeśli zrobi się coś takiego, co ja zrobiłam, to trzeba mieć w sobie coś „kurewskiego”. Nie wiem. Uważam, że jestem normalną dziewczyną. Lubię chłopaków tak samo, jak inni. Nie mniej, ale i nie więcej. Kiedy chodzi się po takim mieście, wśród wszystkich tych kolorowych „gówni” i nie stać człowieka na sandwicha z jajkiem, powoli jesteś gotowy na wszystko. Wiesz przy tym dobrze, że nie wolno ci wrócić z niczym. Jak to?! Wracasz przecież z rajem, ze światła szmalu!

Wtedy nie myślałam o wstydzie. Chciałam jeść i chciałam się ubrać; chciałam także choć raz pójść do takiej knajpy, gdzie grają przebrani z Kozaków gitarzyści. Jest taka knajpa w centrum, nazywa się „Borsch n'Tears” (Barszcz i łzy). Zawsze chciałam usiąść tam przy stoliku i zmusić te Niemki i Węgierki, żeby poskakały sobie koło mnie. Dałabym im duży napiwek. Wiem, co przeżywają. A potem chciałam już wrócić tutaj, do tej cholerniej nijakości. Ale z ciuchami i paru setkami na koncie. Nie mogłam jednak zapomnieć tamtego przez wiele dni. Dopiero teraz, kiedy przeczytałam tutaj w gazecie, że wiele Polek robi to w Finlandii, pomyślałam sobie: „Do diabła z sumieniem. Ce la vie”.

Ten Peter od początku wyglądał jak typowy alfons. Miał gładko przylizane

włosy a łą międzywojnie i cienki, fryzjerski wąsik. Mdlło mi się robiło, gdy na niego patrzyłam, ale kiedy zaczęłam patrzeć w parku przy Seven Sisters Road pomyślałam, że lepsze to niż kraść w supersamach. Znałam taką jedną. Kiedy ją przyłapali i deportowali opowiadała później w kraju, że stała się ofiarą politycznej niechęci. Jak widzisz, ja nie jestem głupia, a te angielskie nazwy na pewno zapiszesz dobrze.

Weszliśmy do brudnej klatki schodowej. Cuchnęło tam jakby zapachem starych namoczonych szmat, ale owe „studio” to był szok. Jakby we wnętrzu karalucha, ktoś urządził królewski apartament! Gdyby ktoś trafił tam przez przypadek, od razu by wiedział, że to musi być trefne. Metal i szkło, jak w szpitalu. Nie myśl, że takie porno robi się w barlogu. Są i takie obrzydki dla szczególnych gustów, ale to był salon. Inaczej nie płaciliby tak dobrze. Miałam dostać sto funtów za godzinę.

Wiesz, mniej mnie może przeraziła sama akcja, poza tym pierwszym szokiem, kiedy zobaczyłam moich „partnerów”, ale najbardziej bolało mnie to, że wszystko tam jest tak bezosobowe. Dziewczyna, która wyszła, by nas powitać, miała białe, krótko obcięte włosy i bardzo złe oczy. Potem, kiedy ustawiała nas w różnych pozycjach, robiła to, jakby nakrywała do stołu. To nie była rutyna ani zawodo-

wstwo, to było prawdziwe skurwienie osobowości. Zaprowadziła mnie do małego pokoiku i kazała się rozebrać. Obejrzała mnie dokładnie, kiwnęła głową i poszła naradzić się z innymi. Teraz dopiero się przestraszyłam. Nie, nie jestem „mniszką”, ale, choć wszystkie mamy pociąg do ekshibicjonizmu, zawsze ma się trzęść przed pierwszym strip-teasem. Kiedy usiadłam na stoliku nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zajrzał jakiś facet i dał mi coś do wypicia w tekturowym kubku. Dobrze to było — słodkie i rozgrzewające. A potem przyszła znowu ta dziewczyna i przyniosła ubranie jak dla pensjonarki.

Nie będę, nie mogę ci opisać, co musieliśmy robić. I tak nikt tego nie wydrukuję. Możesz zresztą włączyć video i sam zobaczysz. Peter tam był i dwóch fotografów i moich dwóch partnerów i ta dziwka i jeszcze ktoś. Ale mnie było już wszystko jedno. Może ze względu na ten płyn, który wypitałam. Dla facetów są inne rzeczy. Taki seans trwa ponad dwie godziny. Chłopom dają specjalne prochy, żeby zawsze byli gotowi. Ci dwaj, to byli Duńczycy. Mieli jasne włosy i potatowane ramiona. Ale nie byli brudni. To cywilizowany kraj i ludzie, poza największą szmatą, często się kąpią.

O czym wtedy myślałam? O tej koczackiej knajpie. Jeśli się dobrze ustawić do czegoś, człowiek może zrobić wszystko. Mówię ci — wszystko i tak właśnie myślę. Nie chcę się usprawiedliwiać. Nawet przed sobą. Teraz mi to niepotrzebne. Ta babka ustawiała nas jak trzeba, a ja myślałam o tej koczackiej knajpie „Barszcz i łzy”. To



# Na noclegu

**R**ZECZ miała się tak. Hieronim Chrystian Holsten, szlachcic niemiecki, służący jako najemnik w wojsku polskim, w lipcu 1663 r. zwolnił się ze służby i wracał do ojczyznanego kraju. Droga powrotu wiodła między innymi przez Lublin, gdzie przeżył zabawną przygodę, którą zrelacjonował w swych pamiętnikach.

Oddajmy głos Holstenowi: „Gdy otrzymałem [we Lwowie] zwolnienie [ze służby w armii koronnej], poprosiłem mojego dobrego Pana [hetmana półnego Jerzego Sebastiana] Lubomirskiego, w którego regimentzie służyłem ponad siedem lat, aby zechciał być tak łaskawy i dał mi paszport, jak gdybym się jeszcze rzeczywiście znajdował u niego w służbie i tylko otrzymał na parę miesięcy urlop [...]. Ten paszport pomógł mi bardzo, zaraz po Bogu, inaczej skreśliłbym sobie kark [...]. Nie da się opisać, jak bardzo niebezpieczne były drogi i szlaki [...]. Nauczyłem się teraz dobrze polskiego utartego postępowania, nigdy nie nocowałem we wsi i dobrze patrzyłem, jak dotrzeć do jakiego miasteczka. Gdy widziałem,

żądałem dla siebie małej izby, trochę jedzenia i dobrego trunku, zobaczyłem, że zostałem obsłużony przez piękną pannę. Za każdym razem, gdy dopominałem się o coś, przechodziła na górę inna panna. W końcu pokazano mi ich z dziesięć, a wszystkie zachowywały się wobec mnie przyjemnie, przyjacielsko i kokieteryjnie. Myślałem początkowo, że szczęśliwa musi być gospodyni, mając taką gromadę pięknych, pociągających i sympatycznych sióstr i córek. Potem jednak dowiedziałem się od moich ludzi, że zostałem zakwaterowany w głównym i najgorszym domu publicznym. Była noc, konie były w większości rozsiadane, musiałem więc zostać. Te różne panienki były wielką pokusą, a każda z nich chciała się zaprezentować piękniej niż inne. Przyniosły mi gorącego wina z mocnymi korzeniami i inne delikatności, ponieważ udawałem chorego i mocno zmęczonego. Myślałem jednak jeszcze cały czas o wierności i uczciwości, które poprzysiągłem mojej Zofii Katarzynie. Udawałem, że mam kolkę i że chętnie bym odpoczął na ławie. Te dobre panienki były jednak bardzo biegłe w medycynie i dały mi

wychodzących, aby mi ze słajni nie skradziono koni. Rankiem przyszły delikatne nimfy, by mnie zapytać, czy choroba i zmęczenie jeszcze nie minęły? Skarżyłem się na silne bóle głowy, one miały jednak zaraz na podorzędziu receptę, przyniosły mi hiszpańskiego wina ubitego z surowymi żółtkami. Niewiele mi to wtedy mogło pomóc, ponieważ myśli moje skierowane były na szczęśliwą podróż i na to, jak mam w przyszłości z moimi 6000 talarów dziedzictwa zrobić fortunę. Rano wynajmłem inne mieszkanie. Gdy je już miałem, pozegnałem się ze starą matroną i jej pięknymi nimfami, jakbym już chciał całkiem odjechać, musiałem jednak za ciepłe poczulunki i żółtka całkiem słono zapłacić”.

Holsten swą relację o lubelskiej przygodzie kończył następującą uwagą: „W całej Polsce w najczystszych miastach znajdują się takie uprzywilejowane przez króla domy. W tych miłosiernych «klasztorach» przyjmuje się i wychowuje dzieci z ulicy; są one od młodości utrzymywane w pięknej czystości, dokładnie kapano, aż dojdą do lat rozkwitu i nauczą się być miłe, przyjazne, delikatne i swawolne. We matrony ciągną z tymi lalmi na najsłynniejsze jarmarki, rybnaki lub idą za dworem. Każda matrona ma piętnaście do dwudziestu kilku takich oswojonych zwierzątek ze sobą, zajmują najważniejsze domy, meblując je i tapetując jak najlepiej. Z tych swobodnych, uprzywilejowanych szkółek i domów król w Polsce otrzymuje co roku duże kontrybucje”.

W Lublinie Holsten zatrzymał się jeszcze ponad osiem dni, potem przez Warszawę i Toruń ruszył do ojczyzny, aby upominać się o spadek po rodzicach — 6 tysięcy talarów. Holsten, będąc już w Niemczech, nieraz zastanawiał się, czy nie wrócić do Polski i nie zaciągnąć się tu z powrotem do wojska. Nie uczynił jednak tego. W 1665 r. wstąpił do armii münsterskiej, a następnie duńskiej. Zmarł śmiercią naturalną w 1692 r., mając niewiele ponad 50 lat.

Jakże inaczej upłynął nocleg Żydowi Aronowi u wieśniaka w Wielkopolsce w tym samym barwnym i niebezpiecznym XVII wieku. Aron nie pozostał — jak Holsten — pamiętnikarzem i nie opisał wydarzeń owej nocy. W szczegółach natomiast opowiedziała o niej, wnosząc na Arona skargę do urzędu grodzkiego poznańskiego, żona wieśniaka, u którego stanął on na noclegu. Przebieg owej nocy w chałupie chłopskiej w Krzemieniewie — według relacji żony wieśniaka — był następujący. Aron zatrzymawszy się w ich chałupie na nocleg, posłał jej męża w nocy do karczmy po piwo, sam zaś do „komory potajemnie wszedł i nie mówiąc, na łóżko do niej wlaższy, gwałt jej uczynił, i uczynek niesłychany, niewiernym i poganinem będąc [...] i cudzołóstwo popełnił”. Aron — człowiek niewątpliwie jeszcze dosyć młody, mający tolerancyjnego i obrotnego teścia — za ów czyn nie poniósł żadnej kary. Dwukrotnie chwytany i zamykany, został przez teścia i drugiego Żyda z więzienia miejskiego w Gostyniu „sposobem nocnym wykradziony i wywieziony”.

Adam Andrzej Witusik

# Ekran i widz

## Ciężki kogel-mogel

**J**AK dziewczyna jest młoda, ładna, uczciwa i pracowita, to nie musi ona zarządzać się ze wsi do miasta na wyższe studia, bo tam miastowi człowiekiem pomiatają. Liczą każdy plasterkę szynki na talerzu, daniom docentowym jeno flu-bádzju w głowie, a ich mężom, co niby takie naukowce i pedagodzy (choć własnego dziecka to, wychować ani rusz, nie potrafią!), ledwie na ciasnego malucha wystarczą; a jak to się panoszy, jak to się pyszni, jak to się dmie w tych swoich paru ciasnych „emach” w osiedlowym wieżowcu!

A nas wsi...! Jak się trafi chłopak grzeczny, przystojny, postawny, magister-inżynier-rolnik z kilkuletnią praktyką na Zachodzie, z angielskim wykutym na blache, własnym volkswagenem-golfem, no i tymi hektarami, co mu rodzice odpisali, to on taką młodą, ładną i robotną dziewczynę pokocha, doceni, do domu nowoczesnego, przestronnego, wygodnego, wprowadzi i za żonkę ją pojmie.

I już ta dziewczyna nie będzie żalowała przerzucanych studiów pedagogicznych, ani piasów w dyskotece, ani innych miejskich różności, tylko siadzie sobie z mężem magistrem-inżynierem-rolnikiem w oknie i oboje będą popatrywali na ów krajobraz zielony dookoła się rozpościerający, na pola malowane zbożem rozmaitem, na nowiulskie traktory, kombajny i inny sprzęt rolniczy, co go tak łatwo rolnikowi kupić w sklepie, byle ino miał gotówkę!

No, i jak się tak napatrzą, napatrzą, to się nagle, miłgciem, chyczą za robotę! A od tej roboty Polska nam zaraz zakwitnie, wzbogaci się i popłynie przez nią rzeka szeroka i głęboka — dobrobyt!

Taka oto, mniej więcej, konkluzja może się jawić widzowi po wyjściu z kina, gdzie oglądał najnowszy film Romana Załuskiego zatytułowany „Kogel-mogel”.

Film Załuskiego jest komedią, a w komedii, jak wiadomo, mogą się zdarzać rzeczy najbardziej nieprawdopodobne. Więc niby dlaczego sympatyczna Kasia z głębokiej białostockiej wsi, która do zdaniu matury, wbrew woli rodziców, zamiast pilnować gospodarstwa, postanowiła studiować w Warszawie, nie miałaby spotkać nagle na swojej drodze przystojnego Pawła z sąsiedztwa; światłego, wykształconego rolnika i dojść do wniosku, że jej miejsce jest naprawdę raczej w wsi, a nie w mieście?

Zresztą takie rzeczy zdarzają się nie tylko w filmie, nie tylko w komedii, ale także — w zwykłym, realnym życiu. Sek tylko w tym, jakim językiem twórca o podobnych wydarzeniach opowiada! Ie potrafi zawrzeć w swojej opowieści prawdy o ludziach, zdarzeniach, faktach, problemach, które postanowił zaprezentować na ekranie? Jest rzeczą tutaj nielotną, czy opowieść tę przedstawiono w konwencji dramatycznej czy komediowej...!

Wzbudzające na widowni huragany „Śmiechu, zatracające niejednokrotnie o farsę, komedie Sylwestra Chęcińskiego o nieustannych walkach i sprzeczkach dwóch zwaśnionych chłopskich rodzin przybyłych z Buga na Ziemię Odzyskaną: Kargulów i Pawlaków były przecież opowieściami mądrymi, wynikającymi z wnikliwych obserwacji socjologicznych i psychologicznych; z wielkiej znajomości natury ludzkiej zarówno scenarzysty jak i reżysera.

„Sami swoi” i dwie następne części wiejskiej trylogii Sylwestra Chęcińskiego, to nie tylko zabawa na ekranie, to również pokazanie kawałka całkiem realnej Polski. Choć — poprzez komediowy pryzmat...

Oczywiście, filmy, o których tutaj wspominałem, nie muszą być jakimś „wzorcem” dla reżyserów sięgających po komediowy „temat wiejski”. Zresztą za ów temat brali się różni autorzy filmów, w bardzo różny sposób, że wymienię tu choćby Krzysztofa Wojciechowskiego... Wdzieliśmy już na ekranie komedie „wiejskie”: dramatyczne, liryczne, sentymentalne; przepełnione poezją, jadem, złośliwością, komedie sięgające do groteski, do absurdu, a także — do farsowości.

Nie jest natomiast dobrze, kiedy komedia farsowa (a taką chyba miał być w założeniu „Kogel-mogel”) nabiera cech groteskowo-absurdalnych wbrew zamierzeniom reżysera. Kiedy staje się płaską, zenująco nieciekawą opowieścią, usiłującą wzbudzić rechat widowni, odwołując się do wywiechtanych, zużytych chwytów, „zagrywów” i „grypów” na poziomie niektórych przedwojennych polskich komedii filmowych, które wprawdzie oglądamy z leką w oku podczas telewizyjnych pokazów „W starym kinie”, ale wolelibyśmy, aby nie były one wzorami dla dzisiejszych reżyserów.

Grzechem tamtych filmów była może przede wszystkim ich banalność. Podobne ocieranie się o banal dostrzegam w filmie Romana Załuskiego „Kogel-mogel”, chociaż reżyser, zgromadził w nim całą plejadę dobrych aktorów, którzy — ze swej strony — robili, co mogli. Ale wyszedł z tego, istotnie Kogel-mogel: namieszany, przesłodzony twór, ciężki do strawienia...

M.D.



Alegoria nieczystości. J. Callot, akwaforta.

ze to potrzebne, okazywałem burmistrzowi lub soltysowi mój paszport wolnego przejazdu [...]. Moją dymisję trzymałem dobrze ukrytą. W ten sposób rzeźki i zdrowy przybyłem do Lublina. Teraz chciałem znaleźć nocleg [...]. Moi ludzie prawie przez cały dzień jeździli, by zdobyć mieszkanie, aż wieczorem zaprowadzili mnie do dość dużego domu, gdzie było też dosyć pomieszczeń stajennych. Kiedy już za-

wkrótce ciepło, odurzające poczulunki. Same chciały mi je delikatnie, ciepło kłaść na brzuch, po czym choroba miała błyskawicznie ustąpić. W ten sposób byłem wodzony na pokuszenie przez diabelskie nasienie. Chciałem jednak w końcu mieć spokój, toteż musiałem usiąść z moim lejtnantem i całą noc grać w karty. Moim knechtem kazałem [...], by uważali przy otwartych drzwiach na wchodzących i



## Czerń ciągle górą

# Moda czerpie inspirację z ulicy

## Rozmowa z Władysławem Schmidtem - projektantem mody

**S**REBRZYSTOCZARNE kreacje wieczorowe, efektownie wyeksponowane na połyskującym cekinami tle, tak odświętnie prezentuje się witryna Centrum Nowości i Mody w Sofii, witryna, która zajęła pierwsze miejsce w konkursie na najlepszą wystawę sklepową. Jej autorem jest Władysław Schmidt, nestor bułgarskich projektantów mody. Jest on jednocześnie autorem ostatniej kolekcji mody magazynu „Łada”.

— Jaka jest bułgarska moda młodzieżowa?

— Dla mnie moda młodzieżowa to moda awangardowa dla danego okresu. Reszta to stałe powroty z akcentowaniem tego czy innego elementu. Obecnie powracamy do mody krótkiej, bliżej ciała. Górna część ubrania staje się krótsza, ramię „chowa się” poduszki znikają. Głównym dodatkiem pozostaje jedwabny szal jednokolorowy lub we wzory. Na uroczyste okazje proponujemy gruby jedwab, na co dzień natomiast — tkaniny wełniane i bawełniane.

— W jaki sposób udaje się panu pokonać modę ulicy?

— Ja nie walczę z tą modą. Zazwyczaj od chwili wyboru tkanin do realizacji kolekcji mijają trzy miesiące. Jeśli przez ten czas projektant nie śledzi tego, co dzieje się na ulicy, może się to okazać dla jego kolekcji fatalne w skutkach. Albowiem moda czerpie inspirację z ulicy. Warto korzystać z pomysłowości młodych, którzy zawsze wynajdą coś nowego, chociaż czasami mija się to z estetyką i funkcjonalnością. Można zaryzykować stwierdzenie, że punkowie i im podobni pozostają poza nawiasem bułgarskiej ulicy. Wyluczając skrajności w Bułgarii obserwujemy raczej zgod-

ne współistnienie magazynów mody, wystaw sklepowych, pokazów i ulicy. Dzisiaj młodzież zachlystuje się czernią. Na czarno czuje się ekstrawagancko odmieniona. Zjawisko to jest mile przez projektantów widziane, gdyż najłatwiej jest realizować modele oparte na czerni. Ostatnio czerń łączymy najczęściej z bielą, soczystą czerwienią lub ostrą zielenią.

— Czy nie prowadzi to do daleko idących odstępstw od rodzimej tradycji?

— Czerpanie z folkloru przy projektowaniu współczesnej mody wymaga dużego wyczucia. Motywy folklorystyczne zbyt rzucające się w oczy drażnią. Korzystamy więc z nich oszczędnie. W obecnej kolekcji dyskretnie nawiązuję do bułgarskiego wzornictwa ludowego. Uzyskuję to przez wytłaczanie na tkaninach motywu starych bułgarskich amuletów.

— Jaka jest przyszłość butików w Bułgarii?

— Niestety, w Bułgarii butiki z trudem torują sobie drogę. Zdaje się, że wciąż jeszcze nie potrafimy docenić ich jako miejsc sprzedaży krótkich serii prosto od projektanta. Częściej ubrania tego typu kupić można w sklepach — galeriach działających pod patronatem Związku Bułgarskich Piastyków. Cieszę się, że jeśli nie u nas, to przynajmniej w ZSRR w najbliższym czasie będą otwarte bułgarskie butiki. W Tbilisi, w odrestaurowanej części miasta będą sprzedawane stroje wieczorowe szyte na miejscu według projektów bułgarskich mistrzów mody.

(Sofia-Press)  
Rozmawiała:  
Petia Gergowa

## Pocztą literacką

**Zdzisław T.-Z. Stalowa Wola.**  
To, co Pan przysłał, przypomina utwory spod znaku zapomnianego behawioryzmu, na dodatek w jego skrajnej postaci. Ani narrator nie dzieli się z czytelnikiem żadną refleksją, ani bohaterowie; zdaje się nawet, jakby były to istoty całkowicie bezmyślne, a ich uwaga skupiona na ruchach, gestach i wypowiedziach słów. Trochę przypomina to, z powodu owej oszczędnej narracji, nowelę filmową lub słuchowisko radiowe. Za dużo jednak w Pańskim piśniu mankamentów, aby próbować — już teraz — wypłynąć z tym na szersze wody. Po pierwsze, zapomina Pan jednak, że ludzki mi działaniem rządzi zawsze jakaś logika, a nawet jeżeli trudno taką logikę znaleźć za pomocą zdrowego rozsądku, to zawsze działania takie nakierowane są na jakiś cel, na zdobycie takich wartości (czy rzeczy), które dany osobnik uważa za pożądane i potrzebne. Musi być zatem jakaś kohezja pomiędzy działaniem, wypowiedzią przez bohatera słów i jego pozycją w rzeczywistości. Np. w opowiadaniu „Kuznia Hefajstosa”, które posiada kilka znakomitych fragmentów, najmniej prawdopodobna, a więc budząca największą wątpliwość, jest postać pomocnika Zajcwangiera Karola, który najpierw przedstawiony jest jako wioskowy przyglup, nie potrafiący ukończyć szkoły podstawowej i oddany, jak się dawniej mówiło „do terminu”, a później wypowiadający sądy godne doktora (co najmniej habilitowanego) filozofii i wdający się w dyskusję na temat historii pojęcia kwadratury koła z przygodnym podróznym, który szuka w kuzni pomocy, gdyż zepsuł się mu samochód. Ta nagła przemiana z głupka w mędrca musi być pokazana przekonująco, może należałoby cofnąć się w opowiadaniu o kilka lat i pokazać, że małego Zajcwangiera wyrzucili ze szkoły nie za wrodzoną tępotę, ale jakieś inne przewinienie (mógł np. spustoszyć sad miejscowego prominenta, ale — przestzegam Pana — musi to być sad prominenta, ponieważ tylko prominent mógł być mu skutecznie zaszkodzić w tamtych czasach, nigdy proboszcz czy aptekarz).

Po drugie zaś, jeżeli już Pan naka-

zuje swoim postaciom dyskutować o kwadraturze koła, to raczej obaj powinni być godnymi siebie przeciwnikami. Np. przygodny kierowca powinien być wybitnym w tej dziedzinie autorytetem-teoretykiem, może nawet o sławie światowej, może nawet ekspertem ONZ etc. (Niech Pan zobaczy, ilu literatów wyjechało w górę na gniadoszu umiejętnego politykierstwa). Powinien ponadto mieć na swoim koncie kilka fundamentalnych dzieł na temat kwadratury koła, z których to dzieł wynikałoby, iż kwadratura koła jest naprawdę kwadraturą koła, czyli problemem nie do rozwiązania.

Zawiązanie dramatu mogłoby być takie: kierowca (założmy doc. H.) podśmiewa się z Zajcwangiera, na co ten wyjmując z jakiegoś barłogu załuszczone, pomięty niemilosierdzie karteluszki, na którym był wylizany, że jednak można skonstruować kwadratowe koło, które by jeździło tak samo jak okrągłe. Na co docent śmieje się jeszcze bardziej, na co Zajcwangier wyciąga spod stosu złomu takie właśnie kwadratowe koło. Następnie docent może próbować zabić wsiwego kowalczyka, ale to Zajcwangier zabija docenta, jest pokrwawiony i myjąc się, zauważa niespodziewanie bardzo duże, ludzkie podobieństwo pomiędzy sobą a docentem. Przeobraża się zatem w docenta, zostawiając w kuzni (a może pałac w kowalskim palenisku? — to niech Pan już sam rozważy) powalane zwłoki docenta — Zajcwangiera. Pointa; uciekający Zajcwangier, zamiast spawać pękniętą felgę, przykręca do samochodu skonstruowane przez siebie kwadratowe koło i odjeżdża.

Niech Pan spróbuje, nawet jeżeli to, co Panu podpowiadam, wydaje się Panu absurdalne. Czy zna Pan pomysły na pisanie prozy, jaki ogłosił w „Dzienniku” Witold Gombrowicz? Niech Pan posłucha; siada się do pisania i pisze się 20 stron tego, co ślina przyniesie na język. Wszystko, każdy, najbardziej nawet niedorzeczny pomysł, dialog, najbardziej absurdalną akcję zapisuje Pan w uporządkowanej formie prozy narracyjnej. Odkłada Pan to na dzień — dwa. Czyta na świeżo i — zdaniem Pana Witolda — zawsze znajdzie Pan tam co najmniej jedną stronicę wartą kontynuowania. Namawiam zaś Pana dlatego, że „Kuznia Hefajstosa” bliska jest ponadto grotesce i surrealizmowi. Proszę zatem spróbować i przysłać nową wersję tego interesującego, chociaż mocno obecnie wybrakowanego opowiadania.

AP.

## Krzyżówka nr 20 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Pierwsze litery 22 początkowych wyrazów utworzą imię i nazwisko autora oraz tytuł jego książki, z której pochodzi fragment tekstu. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze.

1. drzewo z czerwonymi jagodami — 24. 7. 49. 62. 124. 158. 60. 74. 85.
2. czynny członek organizacji — 5. 125. 80. 89. 65. 75. 79. 90. 14.
3. romantyczny utwór muzyczny — 13. 50. 05. 130. 101. 9. 126.
4. oczyszczanie krwi przy chorych nerkach — 12. 123. 100. 131. 120. 115. 91.
5. kontrola — 4. 70. 137. 16. 99. 93. 103.
6. do zamykania przewodu — 10. 129. 102. 23. 54.
7. moc, siła — 11. 135. 110. 166. 139. 156. 18.
8. wolno chodzi — 109. 97. 8. 22.
9. długowieczne drzewo — 51. 47. 165.
10. w przewodzie pokarmowym — 86. 133. 106. 141. 56. 73. 92.
11. naśladowanie dźwięków w tekście — 87. 82. 57. 96. 136. 46. 127. 8. 132. 77. 66.
12. wskazuje stopień wojskowy — 88. 63. 83. 32. 181. 1. 43. 143.
13. element łańcucha — 37. 3. 44. 53. 26. 150.
14. grawitacja — 35. 152. 52. 67. 78. 119. 27. 76.
15. przytulne miejsce — 36. 179. 176. 61. 180. 113. 148.
16. japoński złoty — 39. 107. 33.
17. wieża twierdzy — 142. 45. 153. 104. 81. 30.
18. duża litera ozdobna początkująca akapit — 112. 155. 178. 17. 146. 28. 144.
19. góry w ZSRR, Chinach i Mongolii — 145. 173. 29. 34. 98.
20. pisał je Grimm — 149. 147. 58. 168. 175. 160.
21. gila — 69. 48. 114. 162. 31.
22. wyrażenie zgody — 94. 116. 59. 157. 122. 46.
23. np. Łubelska lub Kielecko-Sandomierska — 177. 2. 72. 20. 128. 117.

24. wycieraczka do ołówka — 172. 164. 111. 84. 63.
25. koncept lub obelga — 118. 174. 15. 138. 21. 19.
26. wąsata ryba — 42. 64. 121.
27. kolejne dźwięki — 151. 163. 71. 187.
28. powstaje w mózgu — 171. 105. 23. 140.
29. gruczoł mleczny krowy — 170. 86. 108. 150. 41.
30. zimowy pojazd — 181. 169. 39. 134. 154.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 1000 zł.

## Rozwiązanie krzyżówki nr 18 szyfrogramu literackiego

Alle ostatecznie wszystko, co się zdarza, zdarza się na skutek mniej lub bardziej widocznych zbiegów okoliczności. Tylko pisarze ogromnie boją się zbiegów okoliczności, gdyż uważają, że to obniża wartość literatury.

Stanisław Dygat  
Disneyland

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 18 nagrodę wylosowała Ryszarda Stefańska, ul. Duleby 16 m. 2 20-326 Lublin.

	1	2	3	4	5	6	7		8	9	10	11	12		13	14
15	16		17	18	19	20		21	22	23	24		25	26	27	28
29		30	31	32	33	34	35	36	37	38	39		40	41	42	43
44	45	46	47		48	49	50	51	52		53		54	55	56	57
58	59	60	61		62	63	64	65	66	67	68	69	70	71		72
73		74	75	76		77	78	79	80		81	82		83	84	85
86	87	88	89		90	91	92		93	94	95		96	97	98	
99	100	101	102	103	104	105	106	107	108		109	110		111	112	113
114	115	116	117		118		119	120	121		122	123	124	125	126	127
	128	129		130	131	132		133	134	135	136		137	138	139	140
141	142	143	144	145		146	147	148		149	150	151	152	153	154	
155	156	157	158	159	160	161	162	163		164	165	166	167	168	169	
170		171	172	173	174		175		176	177	178	179	180	181		

# Jeść albo nie jeść - oto jest pytanie...

## Czym nas karmią i za ile?

**C**ZYM w ostatnich miesiącach 1988 roku karmi nas gastronomia? Czy i jak urozmaicony jest jadłospis? Ile kosztuje je d e n obiad? Słowem jeść albo nie jeść - oto jest pytanie. Zwróciliśmy się do kilku lubelskich restauracji (lub, jak kto woli, zakładów żywienia zbiorowego) z prośbą o udostępnienie nam menu. Na początek przedstawiamy naszym czytelnikom, jak to menu wyglądało 6 września br. w „Unii” (I kat.) i w restauracji „Pod Basztą” (IV kat.). Mamy zamiar publikować jadłospisy i z innych restauracji, nie tylko lubelskich, serdecznie prosimy czytelników z całej Polski o współpracę, to znaczy o nadsyłanie nam podobnych dokumentów (jak je zdobywać, nie podpowiemy).

Jaki jest cel naszego przedsięwzięcia? Cele są dwa: krótko- i długofalowy. Po pierwsze: pragniemy ukazać, co nam oferuje obecnie nasza gastronomia? Czy można w niej zauważyć choć nikłe postępy w realizacji drugiego etapu reformy gospodarczej? Ponadto pragnęlibyśmy interesujące przykłady upowszechnić. Porównanie kart pozwoli też wylapać nonsensy: nie wiemy np., dlaczego butelka wody mineralnej tyle samo (50 zł) kosztuje w lokalu I

kategorii, jak i IV kategorii? Mamy też inne pytania, ale na razie o nich nie wspomnimy.

Po drugie: jadłospisy są dokumentem epoki. Dziś z ciekawością zajrzeliśmy np. do kart obiadowych sprzed, chociażby, 30 lat. Gdzie je zdobyć? Kto je kiedykolwiek w całości podał do wiadomości publicznej na jakichkolwiek łamach? Za lat kilkadziesiąt przyszyły literat, piszący książki o naszych czasach, sięgnie do pozostawionych numerów „Kamery” i będzie mógł już bez żadnej pomyłki napisać, że w 1988 r. schaboszczak po lubelsku kosztował w „Unii” 1012 zł, a „Pod Basztą” 517 zł. Wszelkie dzisiejsze realia zostaną więc zachowane w stu procentach!

Cen alkoholu nie podajemy. Na razie. Temat to daleko szerszy. Marze są stałe, stosunkowo niskie. Poszczególne zakłady gastronomiczne, chcąc wyjść na swoje, windują ceny potraw. Usłyszeliśmy kiedyś takie zdanie: „Ja nie piję, ale jedząc w restauracji, utrzymuję pijących”. Sądźmy, że ta opinia warta jest zastanowienia.

Będziemy wdzięczni czytelnikom nie tylko za przysyłane nam jadłospisy. Czekamy również na konkretne uwagi, propozycje.

M. A. Jaw.



— Panie kelner, za pięć marek dostalem pod hotelem pięć tysięcy złotych. U nas, w Monachium, za pięć marek mógłbym dostać tylko zupe.

### UNIA

#### Zakąski zimne

Łosoś wędzony	630
Karp w galarecie	359
Sledź w oleju	162
Sledź w śmietanie	164
Sardynki w oliwie, puszka	300
Poledwica sopocka	115
Poledwica po angielsku	200
Szyska wędzona	200
Befszyk tatarski z łososiem	384
Befszyk tatarski z sardynką	324
Ser	80
Pomidory	150
Baleron z drobiu	297
Ogórek konserwowy	150
Grzyby marynowane	245
Pieczwyo białe	20
Pieczwyo razowe	20
Buleczki firmowe	20
Masło	25

#### Zakąski gorące

Pieczarki w śmietanie w kokilce	480
Boeuf Strogonow w kokilce	488
Forszmałk firmowy „Unia”	274
Flaczki wołowe	225
Pieczarki z rusztu z pieczywem	669

#### Zupy

Bullion	24
Bullion z diablótką	74
Barszcz czysty	50
Barszcz czerwony z diablótką	100
Kolduny litewskie w bullionie	102
Barszcz z koldunami	128
Rosół z makaronem domowym	37
Zurek wiejski z kiełbasą	80
Zupa grzybowa z grzankami	80
Zupa gulaszowa z pieczywem	158

#### Dania z ryb

Karp sauté z pieczarkami	972
Karp z wody, dodatki	775

#### Dania mięsne.

Sztuka mięsa, dodatki	648
Chateaubriand dla 2 osób	1849
Bryzol z poledwicy, dodatki	965
Poledwica po angielsku, dodatki	1195
Szaszлык z poledwicy, dodatki	933
Zraziki schabowe po węgiersku, dodatki	834
Zraz schabowy po myśliwsku, dodatki	906
Golonka, 1 kg, dodatki	1369

Bryzol ze schabu, dodatki	1062
Kotlet schabowy „Lubelski”, dodatki	1012
Zrazy „Milanaise”, dodatki	982
Zraz „Leśny”, dodatki	842
Zraz ze schabu po nelsonsku	882

#### Dania z drobiu

Kurczę pieczone bez kości, dodatki	1430
------------------------------------	------

#### Dania jarskie

Omlet naturalny	210
Omlet z groszkiem	335
Omlet z szynką	380
Omlet z pieczarkami	426

#### Dodatki do dań

Ziemniaki z masłem	73
Groszek konserwowy	173
Fasolka konserwowa	173
Marchewka z groszkiem	165
Kalafior	149
Pieczarki smażone	649
Kluski półfrancuskie	66
Surówka z papryki	202
Ryż zaprawiany	75

#### Desery

Lody bakaliowe	300
Omlet z konfiturą	300
Tort firmowy	300
Tort Hiszpański	300
Kremy	220
Ciastka	120
Puchar z owocami	300

#### Napoje gorące

Kawa wzmocniona, 140 ml	240
Herbata ekspresowa, 200 ml	60

#### Napoje zimne

Woda mineralna, butelka	50
Sok z czarnej porzeczki, butelka	160
Sok pomarańczowy, 100 ml	150
Sok grapefruitowy, 100 ml	150
Piwo jasne „Zywiec”, butelka	500
Piwo ekspresowe, butelka	800
Piwo puszkowe	1800
Pepsi-cola	160

### POD BASZTĄ

(Uwaga! druga rubryka — waga w gramach, trzecia — cena)

#### Pieczwyo, dodatki

Chleb zw.	100	12
Jaja gotowane	112	56
Ser żółty	50	49
Twaróg z cebulą	100	30
Galareta wieprzowa	200	42
Wątrobiana	50	47
Salceson czarny	100	57
Rzodkiewka	p.	80
Ogórek kiszony	100	30
Ziemniaki bez tłuszczu	200	30
Ziemniaki z tłuszczem	200	38
Kalafior z masłem	100	48
Fasolka szparagowa z masłem	100	63
Buraczki zasmażane	200	27
Surówka z czerw. kapusty	100	26
Surówka z białej kapusty	100	25
Salatka z pomidora	100	40
Ogórek konserwowy	50	42
Mizeria ze śmietaną	100	20

#### Zupy

Kefir, ziemniaki z tłuszczem	500	66
Jabłkowa z makaronem	500	73
Pomidorowa z makaronem	500	63
Ziemniaczana, pieczywo	500	92
Ogórkowa, pieczywo	500	76
Krupnik jęczmienny, piecz.	500	56



— Panie kelner, tylko ja jem. Ci panowie to moi żyrancl.

Rysował Józef Tarłowski

#### Dania drugie

Jaja sadzone, ziemn. bez tłuszczu, mizeria	2 szt.	217
Omlet z dżemem	150	197
Makaron z serem i słoniną	390	79
Kasza jęczmienna ze słoniną	250	29
Pyzy ziemniaczane ze słoniną	300	181
Kalafior z masłem, jajo sadzone, ziemniaki bez tłuszczu	200	210
Fasolka szparagowa z masłem, jajo sadzone, ziemniaki bez tłuszczu	200	239
Fasolka po bretońsku, ziemniaki bez tłuszczu	300	293
Ozorek w sosie musztardowym, ziemniaki bez tłuszczu, buraczki	80	367
Schabowy po lubelsku, ziemniaki z tłuszczem, kalafior	130	517
Stek wieprzowy z cebulą, ziemniaki z tłuszczem, surówka z czerwonej kapusty	80	280
Bryzol z poledwicy wołowej, ziemniaki z tłuszczem, salatka z pomidora	80	439
Gulasz wołowy, kasza jęczmienna, salatka z pomidora	180	155
Golonka wieprzowa, gotowana	1 kg	551
Zraz wieprzowy (mr.), sos, kalafior, ziemniaki bez tłuszczu, surówka z czerwonej kapusty	205	243

#### Napoje, desery

Herbata ekspr. z cukrem	200 ml	34
Kawa „Selekt” cukrem	200 ml	291
Kawa „Selekt” z cukrem	100 ml	145,50
Kefir	500 ml	28
Woda „Nalęczowianka”	but.	50
Oranżada	but.	54
Tonic	but.	80
Napój truskawkowy	but.	149
Napój firmowy	200 ml	14
Kompot z jabłek	200 ml	24
Piwo „Perla”		169

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 13-14). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne „m. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 258-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 278-83. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-029, Lublin, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1742 29.09.1988 A-8